



TURYSTYKA - KRAJOZNAWSTWO - ALPINIZM

Rok IV

Nr 5/23

1990

Kilka lat żmudnej i skomplikowanej pracy, przerwy w okresie niepewności finansowej, zaowocowało wreszcie 7-9 września br. wspaniałym wydarzeniem, jakim był IV Kongres Krajoznawstwa Polskiego w Opolu. Na obrady w Teatrze i różnych placówkach stawili się około 500 osób, w tym kwiat polskiego krajoznawstwa, liczne grono wybitnych uczonych, którym przewodził prof. Aleksander Gieysztor, prezes PAN, przedstawiciele władz województwa opolskiego i katowickiego, prezydent Opola, wszyscy posłowie opolscy. Niestety, stery rządowe wyraźnie zlekceważyły spotkanie (w przeciwieństwie do poprzednich, "reżimowych"), gdyż poza wiceprzewodniczącym Komitetu Młodzieży i Turystyki nie było nikogo z pierwszego czy bodaj drugiego "garnituru". Przewodniczący Komitetu Honorowego, marszałek Senatu Andrzej Stelmachowski, nie mógł przybyć z powodu nieoczekiwanego wcześniej przesłania swojej Izby.

W kuliach moc wydawnictw, centralnych i lokalnych, wśród których i nasz magazyn cieszył się sporym zainteresowaniem, jako że zamieściliśmy dużo materiałów kongresowych i śląskich. Tematyka regionalna była zresztą stale obecna podczas różnych dyskusji. Organizacja bardzo sprawna, w

ly podstawowej nr 1. Jeden z autokarów, przeznaczony dla gości i prowadzących Kongres, został niemal siłą zatrzymany w mieście. Do północy zwiędziliśmy równie pięknie odnowiony ratusz. Było co oglądać!

Sobota to gorące dyskusje w zespołach, owocujące licznymi wnioskami i bodźcami do dalszych przedsięwzięć w przyszłości. W krótkich z konieczności przerwach zwiędziliśmy wystawy fotograficzne, wydawnictw i inwentaryzacji krajoznawczej, wspieranej przez komputer. A po kolacji - piękny koncert w Filharmonii Opolskiej i tamże chóru dziecięcego przy MDK. W tym czasie i do nocy pracował specjalny zespół, przygotowujący rezolucje kongresową oraz postanie do mającego się odbyć za tydzień IV Kongresu Towarzystw Regionalnych w Lublinie.

Ostatni dzień poświęcono na sprawozdania z prac poszczególnych zespołów, szlifowanie rezolucji i dodatkową dyskusję plenarną. Delegacja, w której był m.in. niżej podpisany, złożyła kwiaty na grobie Edmunda Osmańczyka, którego myśli i działania są tak bliskie polskim krajoznawcom. Punktualnie, zgodnie z programem, wojewoda opolski zakończył obrady. Moc wrażeń i swojego rodzaju:

KONGRES ZA NAMI

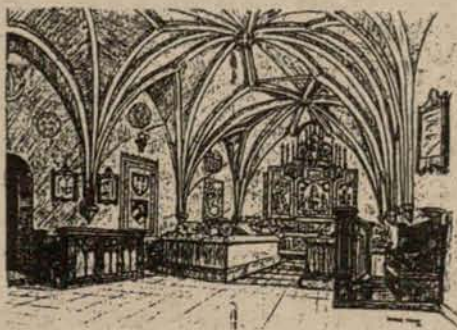
co wiele wysiłku, serca i czasu poświęcili bezpośredni "dyrygenci" przygotowani i przebiegu: Anna Kulfińska z ZG PTTK i Lucjusz Bilik z ZW PTTK w Opolu. Całość świetnie koordynował i przeprowadził obradom plenarnym wiceprezes ZG Adam Chyżewski.

zastrzyk wzmacniający wiarę uczestników w sens pracy społecznej, w sens działalności krajoznawczej. A przy tym tak wiele cennych wniosków teoretycznych i wskazań praktycznych! Rzecz niespotykana, ale jeszcze w tym roku ma się ukazać specjalny tom "Ziemi" (która poza tym zostaje zawieszona z powodu ogromnych kosztów, wynikających m.in. z nikłego zainteresowania nią krajoznawców). Pomieści on wszystkie referaty i dokumenty kongresowe, informacje i różne załączniki, które długo jeszcze będą służyć szerokim kręgom czytelników.

Krzysztof R. Mazurski



Tym razem nie było gali, tzn. medali, odznaczeń i wyróżnień, ale mimo to atmosfera zapanała od samego początku niezwykle nastrojowa i przyjacielska. To zaangażowanie dało się także odczuć wyraźnie podczas dyskusji w różnych gremiach. W piątek po kolacji wyjechaliśmy wszyscy do Brzege, gdzie zwiędziliśmy wspaniale odrestaurowany zamek. Na jego dziedzińcu świetnie zaprezentował się młodzieżowy zespół taneczny "Legenda" ze szko-



Rys. Tomasz Trzon

Opole. Kaplica św. Anny

Ze zdumieniem dowiadujemy się z lektury Informatora Zarządu Głównego PTTK o powołaniu z dniem 12 stycznia 1990 r. Fundacji im. Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, której głównym celem ustanowiono "racjonalne zagospodarowanie Tatr, Pienin i Beskidów". Pomijając już błąd merytoryczny zawarty we wstępnym sformułowaniu dotyczącym Fundacji (Pieniny leżą przecież w Beskidach), autorzy tego pomysłu zupełnie zapomnieli, że PTT swoją działalnością obejmowało również Sudety. Tej karty historii Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego nie należy wymazywać z pamięci, a jednak w uchwale Prezydium ZG PTTK o Sudetach nawet nie wspomniano.

Czyż nie jest oburzające takie potraktowanie polskich gór, objętych działalnością PTTK? Przecież już Polskie Towarzystwo Tatrzańskie przed połączeniem się z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym, po zakończeniu wojny zagospodarowało znaczną część sudeckich schronisk górskich i kontynuowało wytyczone w swoim statucie cele, ożywiając przerwana działaniami wojennymi turystykę górską, nie tylko w Tatrach. Przykładowo, w 1948 r. PTT wyremontowało wieżę widokową wraz ze schroniskiem na Śnieżniku Kłodzkim, upamiętniając ten fakt wmurowaniem solidnej, marmurowej tablicy

Nie kochamy Sudetów?

(wieżę wysadzono w 1973 r., a tablica zaginęła; odnaleziona została dopiero po 16 latach), prowadzono (nie istniejące dziś) schronisko na szczycie Chełmca, noszące imię dra Mieczysława Orłowicza... Nie sposób tu napisać o wszystkich sudeckich schroniskach PTT, wielu z nich utraconych za czasów gospodarowania nimi przez PTTK; wymaga to opracowania obszernej monografii. Czy można jednak liczyć na wydanie takiego opracowania, jeżeli niemal wszystkie papier poświęca się dla byle mierności na temat Tatr? Ale to jest snobizm zawsze usprawiedliwiony, zaś turyści przez lata mogą czekać na choćby wznowienie niezbędnych do wędrówek np. map turystycznych "Góry Wałbrzyskie i Kamienne" czy "Góry Izerskie" oraz innych wydawnictw na temat Sudetów.

Po prostu Sudety były zawsze nie kochane przez Zarząd Główny PTTK, opanowany (z racji Stolicy) przez dominującą kadrę z Warszawy, której bliżej do Tatr i Beskidów.

Gdy sprawę granic Rzeczypospolitej uważa się powszechnie za przesądzoną, a politycy jednoznacznie akceptują ich nienaruszalność, Zarząd Główny PTTK w tym samym czasie okazuje brak zainteresowania Sudetami, choć Towarzystwo ma jednak w nazwie określenie: "Polskie". Gdzie więc, jeśli nie w Polsce leżą Sudety? Nadanie imienia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego dla owej Fundacji zobowiązuje do zainteresowania wszystkimi górami Polski!

A zatem akceptacja tej Fundacji, w jej obecnej formie, nie tylko przeczy dobremu imieniu Towarzystwa i odsunie na jeszcze dalszy plan zagospodarowanie turystyczne Sudetów, ale również jest dyskryminująca wobec terenów zachodnich i Polaków tam mieszkających.

Lech Rugała

Od Redakcji: Nic nie stoi na przeszkodzie, by powołać Fundację Sudecką, która wsparłaby tutejsze schroniska i (może) pobudowałaby nowe. Ale czy komuś na tym zależy? Chętnie będziemy pośredniczyć w inicjatywie.

Znane uzdrowisko tak się rozrosło, że wchłonęło sąsiednie wsie: Bukowinę Kłodzką, Jakubowice, Pstrążną, Słone i Brzozowie. Warto tu wspomnieć, że Kudowa od 1904 r. - a więc przed 85 laty - była własnością spółki, której działalność gospodarcza doprowadziła do rozwoju urządzeń uzdrowiskowych i rozbudowy. Podobnie jak w Zakopanem, znaczny postęp urbanistyczny nastąpił po wybudowaniu linii kolejowej w 1905 r. Właściwie cała stara zabudowa ma w Kudowie sporą wartość zabytkową, ale współczesni postanowili wzbogacić te zasoby. Powstał projekt urządzenia w Pstrążnej skansenu budownictwa, które zanika w szybkim tempie na całym Pogórzu Sudeckim. Chodzi głównie o stare budownictwo gospodarcze, warsztaty rzemieślnicze, domy mieszkalne.

Już w tej chwili w Pstrążnej przybiera obiektów wartych obejrzenia, choć do pełnego urządzenia skansenu jeszcze daleko. Pierwszym obiektem jest przejęta na cele muzealne kuźnia. Wytypowane zostały już do prac konserwatorskich chałupy zrębowe, które teraz po wojnie można jeszcze obejrzeć w Międzyzlesiu i Szczytniej. Na miejscu są już wystawione: drewniany zajazd z Szalejowa oraz stara dzwonnica alarmowa z Dańczowa. Niebawem ekspozycję wzbogacią kolejne chałupy, wiatrak, a we wnętrzach znajdują się stare meble, narzędzia rolnicze i przedmioty codziennego użytku dawnych mieszkańców Sudetów.

Skansen spełni zapewne swą rolę jako obiekt licznie odwiedzany przez kuracjuszy przebywających

Szczawno-Zdrój - jedno z największych uzdrowisk balneologicznych, znane od początku XVII w., a wykorzystywane do celów leczniczych od 1815 r., kiedy to wybudowano pierwsze sanatorium - podupada, jak to się mówi, "w oczach". Zagrożenie walorów uzdrowiskowych sięga granicy, a może nawet już ją przekroczyło. Uzdrowisko nie jest już w pełnym tego słowa znaczeniu uzdrowiskiem. Jak wykazały kolejne już wiarygodne badania, zanieczyszczenia przekraczają normy aż sześciokrotnie!

Głównym źródłem zagrożenia, jakże szkodliwego dla przebywających w Szczawnie kuracjuszy, a także dla stałych mieszkańców, jest zespół znanych zakładów przemysłowych. Są to zakłady porcelany stołowej, huty szkła, kopalnie, koksownie. Przed 45 laty przyjeżdżał w te okolice m.in. Mieczysław Orłowicz i Jan Bulhak, którzy wykonywali dokumentację fotograficzną okolicy i jej atrakcji krajoznawczych. Na wielu fotografiach Bulhaka utrwalone zostały szczawieńskie i walbrzyskie zakłady jako swoisty dowód na istnienie (zgodnie?) krajobrazu przemysłowego.

Już w 1962 r. zakładano utworzenie tzw. pasów ochronnych wysokiej zieleni, które miały być filtrami zanieczyszczeń, barierami dla czynników szkodliwych. Niestety, do dziś nie tylko nie ma pasów, bo nikt nie zaczął ich sadzić, ale wręcz zagładzie ulega roślinność w całej okolicy. Od dawna w Szczawnie nie posadzono ani jednego drze-

ła dzieci. Będzie to zarazem jedyna dotąd tego typu placówka w Polsce. Już w 1990 r. pierwszym 40 małych pacjentów znalazł w nim pomoc udzielaną systematycznie i za pomocą nowoczesnej aparatury. Warto wspomnieć, że wiele prac zapewniających szpitalowi wysoki standard, wykonują rzemieślnicy, np. wystrój wnętrz pokoi mieszkalnych dla pacjentów, gabinetów zabiegowych i pokoi lekarskich.

PRZEŁOM W METODACH LECZENIA

We Wrocławiu uruchomiono pierwszą w Polsce, a trzecią tego rodzaju na świecie, komorę niskich temperatur do leczenia choroby reumatycznej, za pomocą super niskich temperatur, nawet do minus 110 stopni C. Wrocławski ośrodek badań nad różnymi właściwościami niskich temperatur jest znany w świecie z licznych osiągnięć. Głównym ośrodkiem tych prac jest Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN. W placówce tej zainstalowane są unikatowe urządzenia, w tym wspomniana komora. Zbudowana została m. in. dzięki znacznej pomocy Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lublinie w wysokości 60 mln zł (podobne urządzenia w krajach zachodnich budowano za ponad milion dolarów). Komora waży 4 tony, jest sterowana za pomocą komputera, a to już sukces na skalę światową, bowiem u nas ten typ sterowania zastosowano po raz pierwszy na świecie. Wyposażenie w urządzenia elektroniczne zapewniła zachodniemiecka

SKANSEN W PSTRĄ

w Kudowie oraz przejezdnych, korzystających z po-hłiskiego przejścia granicznego w Kudowie-Słone, którego tranzytowy charakter przyciąga turystów z północy i południa. Przydałby się czym prędzej wyczerpujący informator o tym nowym muzeum, który wesprze jego popularność.

NIE TYLKO DO FORTEPIANÓW

W Świebodzicach znajdują się Zakłady Aparatury Elektrycznej "Mera-Refa", które bez rozgłosu, ale za to z dobrym zyskiem, produkują unikatowe urządzenia nieodzwonne przy kompletowaniu wielu generacji komputerów IBM. Są to po prostu klawiatury komputerowe, wzorowane na wyrobach amerykańskich, japońskich i zachodniemieckich. Produkcja należy do najnowocześniejszych na świecie.

Klawiatury ze świebodzickich zakładów działają w oparciu o membrany pojemnościowe, z układem elektronicznym i mikroprocesorem oraz pamięcią. Te dwie ostatnie części, jak i tworzywo sztuczne, z jakiego są wytwarzane - pochodzą z importu.

W tym roku zakłady wyprodukowały 7 tysięcy klawiatur, a w 1990 r. będzie ich dwa razy tyle. O nowoczesności produkcji świadczy m.in. drukowanie liter na klawiaturze przez laser. Niezależnie od tej produkcji "usługowej" świebodzicka fabryka zarabia rocznie ponad milion dolarów na eksporcie własnych wyrobów i urządzeń, takich jak przekaźniki do automatyki i zabezpieczeń energetycznych oraz... przełączniki do kuchenek elektrycznych.

wa, nawet tam, gdzie ubytki widoczne są już bez fachowych analiz!

Degradacja uzdrowiska postępuje w szybkim tempie. "Perła" nie tylko trafi oprawę, ale i własny blask. Na równi z coraz bardziej przestarzałym przemysłem szkodzi walorom uzdrowiska niekontrolowana właściwie rozbudowa miasta i jego osiedli, budownictwo wielokopłytowe i indywidualne. W godzinach szczytowego ruchu przez Szczawno przejeżdża ponad tysiąc pojazdów, hałas i zagęszczenie spalin (a w nich tlenków siarki i azotu, ołowiu) rośnie. Wibracje gruntu zagrażają ciekłom wodnym, w tym źródłom leczniczym.

Niestety, coraz groźniejszy, gdyż realny, jest zanik wód mineralnych, zwłaszcza znanych szczaw alkalicznych - od nich uzdrowisko wzięło swą nazwę - zawierających znaczne ilości dwutlenku węgla, wapnia, sodu, żelaza i magnezu, o zasadniczym znaczeniu dla leczenia dolegliwości dróg oddechowych, gardła i płuc.

Walorów uzdrowiskowych pozostało w Szczawnie już mało. Jednym z nich jest jeszcze legenda i historia tej miejscowości, ale i to może być rychło przeszłością, jeśli pomoc nie nadejdzie szybko i nie będzie skuteczna.

PIERWSZA W POLSCE

W Bukowinie, która jest częścią Kudowy, powstaje od kilku lat unikatowa placówka lecznicza. Będzie służyła dzieciom o rzadkiej, ale bardzo dolegliwej przypadłości, jaką jest kilka postaci chorób krwi. Od 1985 r. buduje się szpital rehabilitacyjny

firma z delegaturą we Wrocławiu - "Intron-Elektronik", zaś obudowę z tworzywa sztucznego zapewnił "Iglloop" z Dębicy.

Dzięki temu we Wrocławiu rozwija się Ośrodek nowoczesnej krioterapii - dziedziny badań i lecznictwa, w której stosowane są niskie temperatury. Jest to obok japońskiego i zachodniemieckiego trzeci w świecie tak nowoczesny ośrodek badawczo-leczniczy. Wiele zasług położył w tej dziedzinie prof. Zdzisław Zagrobelny - przewodniczący Polskiego Towarzystwa Kriomedycznego i rektor Akademii Wychowania Fizycznego. Metodę leczenia niską temperaturą zaczęto stosować w Polsce właśnie we wrocławskiej uczelni w Katedrze Rehabilitacji, za pomocą niskiej temperatury osiąganej dzięki zastosowaniu ciekłego azotu i jego par. Skonstruowany został w 1984 r. przez inż. Zbigniewa Rączkowskiego pierwszy aparat do nawlewania zimnych par azotu na chore stawy człowieka. Chorzy, co było zaskoczeniem dla nich i lekarzy, przestawali po takim zabiegu odczuwać ból stawów, który zazwyczaj powoduje także zwiotczenie mięśni i upośledza funkcje ruchowe organizmu.

Obecnie, dzięki doświadczeniom wrocławskiego ośrodka rehabilitacji schorzenia reumatycznego, w całej Polsce zainstalowano ponad 200 urządzeń do nawlewu zimnych par azotu. Oprócz tego wrocławską metodę stosuje się jeszcze do przechowywania materiałów biologicznych w niskiej temperaturze oraz do wykonywania operacji w tych warunkach.

Wypada tu dodać, że dyrektorem Instytutu Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN we Wrocławiu jest prof. dr hab. Jan Klamut, a jego

nazwisko nie powinno być obce... turystom. Jest on jednym z protoplastów odrodzonego w 1956 r. we Wrocławiu Akademickiego Klubu Turystycznego (ten pierwszy powstał pół wieku wcześniej), w kwietniu 1906 r. we Lwowie). Założyciel lwowskiego AKT - Mieczysław Orłowicz był jednym z nielicznych zwolenników śledzenia przez każde pokolenie krajoznawców także tego, co dzieje się w nauce i nowoczesnych zakładach przemysłowych. To też wiedza krajoznawcza. A tym bardziej w tym przypadku, gdy tworzy ją jeden z wybitnych w środowisku wrocławskim organizatorów turystyki akademickiej przed ponad 35 laty, i jak donoszą dobrze poinformowani - nadal czynny na szlakach wędrówek, już wybitny naukowiec i praktyk.

W KŁODZKU CZYSZCIEJ

Dołęgają końca prace przy budowie oczyszczalni ścieków, która przyczyni się - oby skutecznie - do poprawy stanu wód niesionych przez Nysę Kłodzką. Wydajność 12,5 tys. m³ na dobę ma przyczynić się do opanowania licznych kłopotów ze ściekami w całej zlewni tej rzeki. A konieczność zaradzenia im pojawiła się już dawno, bowiem potencjał ścieków z miasteczek i wsi położonych na Ziemi Kłodzkiej od wielu lat budzi zaniepokojenie. Oczyszczalnia w Kłodzku także może być przedmiotem turystycznej penetracji - turyści powinni wiedzieć, jakie są skutki i jakimi sposobami zapobiega się degradacji środowiska. Oddziałowi PTTK w Kłodzku podpo-

ŻNEJ

wiadamy temat do wycieczek - oczyszczalnia ścieków. Niech jej budowniczości i obsługa wiedzą, że są pod czujną obserwacją.

MONITORING W CZERNIAWIE

Monitoring to punktowe i ciągłe kontrolowanie stanu rzeczy, w tym przypadku stanu tragicznego już obecnie środowiska w rejonie Gór Izerskich. Dzięki współpracy polsko-holenderskiej w Czerniawie (od 1973 r. część Świeradowa-Zdroju) powstała nowoczesna stacja kontroli atmosfery. Pozwala dzięki nowoczesnym urządzeniom o wysokiej czułości rejestrować napływające z Czechostowacji i NRD powietrze i jego zawartość. Stacja wyposażona jest w system automatycznego kontrolowania temperatury, wilgotności, ciśnienia, prędkości wiatrów. Zainstalowane w niej automatyczne analizatory i mierniki pozwalają stwierdzić obiektywnie, jakie gazy i jakie pyły są w atmosferze, skąd pochodzą, a szczególnie jakie jest stężenie tlenków i innych związków siarki - czynnika najbardziej groźnego i niszczącego nie tylko zasoby leśne naszego kraju. Niebawem program działania stacji poszerzony będzie o badania zawartości w powietrzu związków azotu, węglowodorów aromatycznych oraz stężenia ozonu.

Tomasz Kowalik

W kronikach z XVII i XVIII w. parafii św. Mikołaja w Kędzierzynie napotykać kilka wzmianek na temat kościółka. Protokół wizytacyjny z 1688 r. mieści w sobie informację, iż zbudował go protestant przy drodze Gliwice - Koźle u schyłku wojny 30-letniej (1618-1648) w miejscu, gdzie dzisiaj mieści się zajezdnia autobusów miejskich - obok dworca PKP Kędzierzyn-Koźle. W kwietniu 1912 r. iskry z przejeżdżającego opodal parowozu spadły na drewniany dach budowli wzniesając pożar, który w porę ugaszono. Kościółek nie odniósł poważniejszych szkód, jednakże ze swoim dachem z gontów, w bezpośrednim sąsiedztwie dworca kolejowego, stanowił ustawiczne niebezpieczeństwo ogniowe, grożące sąsiadnym budynkom, a w szczególności położonej tuż obok gorzelni. Wobec tego zapadła decyzja zburzenia kościoła (w tym czasie Kędzierzyn posłał już nowy, neogotycki kościół zbudowany w 1902 r.). Jednakże szczęśliwy zbieg okoliczności ocalił budowlę od zagłady. W "Pościechu Niedziel-

nym" dla Diecezji Wrocławskiej z 16.03.1912 r. czytamy: "Kędzierzyn. Obecnie rozbiera tutaj firma wrocławska Printz und Kalusche blisko przy dworcu stojący stary drewniany kościółek, który zarząd kościelny za zgodą zastępstwa kościelnego gminy i za zezwoleniem kościelnej i państwowej władzy nadzorczej na wystawę cmentarzów, połączoną z wystawą stulecia we Wrocławiu przeznaczył (chodzi o huczne obchody 100-lecia zwycięstwa wojsk sprzymierzonych nad wojskami Napoleona pod Lipskiem w 1813 r. - JZ). Po zamknięciu wystawy znajdzie kościółek godne miejsce w Parku Szczytnickim. Do utrzymania kościółka zobowiązał się - wg zawiadomienia Konserwatora Prowincjonalnego dla pomników architektonicznych na Śląsku - Magistrat miasta Wrocławia...". W ten sposób ciekawy zabytek ludowej architektury górnośląskiej doznał osobliwego losu. Nie tylko uniknął wprost w ostatniej chwili zagłady, lecz, co więcej, odbył podróż do wielkiego miasta, gdzie do dzisiaj podziwiany jest przez tysiące spacerowiczów i turystów rocznie. Kościółek wtopił się w pejzaż Parku Szczytnickiego i jest jego nieodłącznym elementem.

Kościółek składa się z prostokątnej nawy z drewnianym stropem i prezbiterium zamkniętego trzema ścianami ośmioboku, nad którą dach siodłowy kryty gontem. Wejście prowadzi przez czworoboczną wieżę stojącą od strony zachodniej, która w górnej części oszalowana jest deskami, a nakryta dachem namiotowym. Odbudowę wykonano przy użyciu starych elementów drewnianych, z których tylko nieliczne wymieniono na nowe. Od strony północnej dobudowano podcienie wzorowane na dawnych formach śląskich. Gontowe pokrycie dachu wymieniono całkowicie. Okna i drzwi wykonano na dawną modłę. Zrezygnowano również z tynkowania ścian zrębowych, aby przywrócić kościółkowi stan pierwotny. Całe pierwotne wyposażenie najprawdopodobniej zostało w Kędzierzynie i posłużyło do wystroju wnętrza pobliskich kościołów.

Druga wojnę światową kościół przetrwał bez

strat, a po wojnie jako obiekt zabytkowy objęty został opieką konserwatorską. W latach 1957-1966 administrowany był przez parafię MB Pocieszenia we Wrocławiu przy ul. Wittiga. W czerwcu 1966 r. przekazano go w użytkowanie Muzeum Śląskiemu (ob. Muzeum Narodowe), które miało zamiar zorganizować w nim okresowe wystawy sztuki ludowej. Położenie kościółka, na uboczu, w nieoświetlonym wówczas Parku Szczytnickim, nie sprzyjało działaniom duszpasterskim ani muzealnym. Często były włamania, urządzano w nim meliny. W 1970 r. obiekt przekazano nowemu użytkownikowi - Wrocławskiemu Parkowi Kultury i Wypoczynku (ob. Przedsiębiorstwo Hala Ludowa), które administruje całą ścianą Parku Szczytnickiego. Od 1971 r. dodatkowo z ramienia Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków kościółkiem opiekuje się Klub Społecznych Opiekunów Zabytków Oddziału Dzielnicego PTTK Wrocław Fabryczna. W okresie letnim organizowane są tu wystawy o tematyce szerzącej ideę ochrony za-

KOŚCIÓŁEK W PARKU SZCZYTNIICKIM

bytków i krajoznawstwo, koncerty muzyczne, prelekcje itp.

Ostatni gruntowny remont ekipa cieśli z PP PKZ



Kościółek "modrzewiowy" w Parku Szczytnickim

Oddz. Wrocław zakończyła w listopadzie 1980 r. Wymieniono wówczas w całości na nowe - stropy, więźbę i pokrycia dachowe. Wykonano zabiegi chemiczne mające na celu wyniszczenie szkodników drewna - kołatka i spuszczela, które poczyniły znaczne szkody w substancji budowlanej.

JANUSZ ZAKRZEWSKI

Turysta też człowiek i po całodziennej wędrówce, po napawaniu się pięknymi widokami, po nadychaniu się świeżego powietrza zaprawionego nikotyną i innymi zapachami, dociera wieczorną porą do schroniska lub innej noclegowni. Jeżeli jest taka możliwość, to myje nogi, ponieważ plechur musi o nie dbać. Pozostałe części ciała nie są narażone na trudy, więc nie wymagają częstego mycia. Zresztą warunki mycia się są tak bardzo różne i nieraz wymagają hartu i poświęcenia. Po mniej lub bardziej oszczędnym myciu i zjedzeniu czegośkolwiek pozostaje do zagospodarowania reszta wieczoru.

Oczywiście jest kilka możliwości. Można od razu iść spać, poczytać książkę - ale rzadki to wypadek, aby turysta nosił taki ciężar na grzbiecie - albo posłuchać zdezelowanego radia, o ile takowe jest w pokoju lub się je wlecze ze sobą. Pozostaje jeszcze najbardziej masowy sposób spędzania wolnego czasu - telewizja.

Co oferuje każdy z wymienionych sposobów spędzania wieczoru? Jeżeli delikwent ma czyste sumienie, a do tego jest solidnie zmęczony, z zadowoleniem ukiada się na łóżku lub tapczanie i rzecz biorąc teoretycznie powinien natychmiast zasnąć. Niestety, nic z tego. Nie ma prawa nawet oddychać, bo każdy wdech lub wydech wywołuje straszliwe skrzywienie łoża, rozluźnione sprężyny wpijają się w boki, a na skutek zapadnięcia praktycznie leży się na podłodze. Niestety, ta wątpliwa przyjemność kosztuje niemało złotych. Dobranoc!

ROZMYŚLANIA NA SZLAKU /6/

Można poczytać książkę, jeśli się ją ma. Jednakże nie jest to taka prosta sprawa, jakby się na pozór wydawało. Po pierwsze: cena książki odstrasza od obcowania z nią, po drugie: istniejące oszczędne oświetlenie w schronisku nie pozwala na normalne czytanie i trzeba dobrze wyteńczyć wzrok, aby cokolwiek zobaczyć w pokoju, nie mówiąc już o książce. A zresztą ciekawych i wartościowych książek praktycznie prawie nie ma. Mnoży się natomiast literatura obsesyjna lub żałośliwie wspomnieniowa.

Następną możliwością relaksu jest radio. Po włączeniu obojętnie którego programu słychać to: mot, dzikie wrzaski, a w najlepszym wypadku jeczenie. Podobno jest to muzyka, jak twierdzą bełkoczący zapowiadacze. Chociaż przyznać trzeba, że czasami, niestety bardzo rzadko, można usłyszeć rzeczywiście muzykę. W przerwach między tą pseudomuzyczną produkcją występują męczennicy za sprawę polską, licytując się w swoich zasługach i cierpieniach. Był już taki wieszcz, który cierpiał za miliony. Obecni męczennicy najchętniej cierpieliby za miliony - najlepiej w "zielonych" lub innej walucie wymiennej. Za złotówki nikomu się nie chce, oprócz rencistów i emerytów ze starego portfela, ale ci nie mają innego wyjścia. Trafiają się również prorocy, którzy wszystko przewidzieli i cokolwiek się dzieje, oni już to prorokowali.

No i pozostaje gwóźdź programu - telewizja, która staje się głównym animatorem kultury dla mas. Jak to wygląda w praktyce, pokazało żalotne widowisko pod szumnym tytułem "Aktorzy Rzeczypospolitej". Żenujące było oglądanie koryfeusza

sceny krygujących się i treścią swych występów przypochlebający się obecnej ekipie rządzącej. A przecież nie tak dawno ci sami aktorzy wyśpiewywali podniosłe kantaty i recytowali wiersze na cześć partii przewodniczącej narodu i osiągnięć w budownictwie socjalizmu. Za tę działalność otrzymywali nagrody, ordery, tytuły naukowe. Czyżby o tym zapomnieli? Ponieważ obecnym swym postępowaniem odcinają się od przeszłości, to powinni zwrócić przynajmniej przyznane przez komunistów ordery, bo z pieniędzmi będzie trudniej, ponieważ nie wiadomo, jaki zastosować przelicznik inflacyjny. Zresztą nie wiadomo również, jak przeliczyć inflację etyki i godności osobistej. Niewesoło jest z naszą kulturą, jeżeli tacy ludzie mają ją kształtować i reprezentować.

Oto inny obrazek. Nagrodzony reżyser filmowy udziela wywiadu dziennikarce. W trakcie rozmowy, bądź co bądź z kobietą, trzyma aż po łokcie ręce w kieszeniach. Piękny wzór do naśladowania!

Można też obejrzeć film - najlepiej serial. Wlecie się to przez wiele miesięcy i nie wiadomo, o co w nim chodzi. I bardzo dobrze. Gorzej z innymi filmami. W zasadzie powtarza się ten sam schemat: zbrodnia, gwałt, okrucieństwo. Z ekranu leje się krew i alkohol - im brutalniej, tym lepiej. W przerwach między makabrą występują "płosenkarze". Jakies niedomyte, znarkotyzowane, kudłate i obdarte indywidua młotają się po estradzie wyjąc i wrzeszcząc, jakby opętał ich święty Wit. I to ma być rozrywką!

Dobry program pojawia się tak rzadko, że należy uznać za szczęście, jeżeli się na taki trafi. Szeroka publiczność kształci się na tych telewizyjnych wzorcach i nic dziwnego, że wprowadza je w życie.

Co się napisało, to się napisało i teraz trzeba to podpisać. Ale jak? Ostatnio rozszerza się moda używania przy drugim imieniu tylko pierwszej litery. Czyżby to przybliżyło nas do Europy? Jeżeli tak, to i ja chcę się do niej chociaż trochę przybliżyć, więc zakładam partię snobów i od razu zgłaszam swoją kandydaturę na prezesa, bo chyba nikt mnie nie przeskoczy.

Ryszard W.Z.A.Garbaczewski

Dla wyjaśnienia podaje, że na chrzcie świętym nadano mi cztery imiona w następującej kolejności: Ryszard, Waldemar, Zbigniew, Augustyn. Dlaczego cztery i dlaczego używam imienia Zbigniew, to już "całkiem inna historia", jak pisał stary Kipling. A może pisał "zupełnie inna historia"?

Do zobaczenia na szlaku!
Zbigniew R.W.Garbaczewski



Szlak

5 lat Sekcji Turystyki Rowerowej „Helios” w Złotoryi

W czerwcu 1985 r. z inicjatywy Henryka Stachowskiego - znanego i cenionego kolarza-turysty na Dolnym Śląsku, też znanego ze swoich "wycieczek" rowerowych w całym kraju - powstała Sekcja Turystyki Rowerowej "Helios", zrzeszająca początkowo 10 osób rekrutujących się ze Złotoryi i okolic. Wtedy najmłodszy uczestnik miał 45 lat, a najstarszy 61 lat. Ten senior wśród seniorów to Henryk Stachowski - wicemistrz Polski odbojów w jeździe parami (jechał z Jerzym Rykłem z Łodzi) za rok 1985 oraz uczestnik Maratonu Pokoju w Krakowie w 1985 r. (maj) - wtedy w ciągu 15 godzin przejechał 418 km z szybkością 27,5 km na godzinę. W ciągu ostatnich 18 lat (obecnie kol. Henryk ma 66 lat życia) przejechał na rowerze ponad 87 tys. kilometrów. Bierze też udział w innych imprezach kolarskich. Kilka razy startował w Jeleniej Górze, Gryfnie i Złotoryi ("Złota Wstęga Kaczawy") i w tym roku ma zamiar wziąć udział w złotoryjskiej imprezie - mówi, że ostatni raz, ale my członkowie "Heliosa" nie wierzymy jemu, bo nie wyobrażamy sobie niedzielnych "wypadków rowerowych" bez jego obecności. Wraz z nim od pięciu lat właściciele każdej niedzieli, jeśli jest pogoda, wyruszamy rowerami do najpiękniejszych zakątków Dolnego Śląska. Byliśmy i zwiedziliśmy Legnicę, Chojnow, Jawor, Bolesławiec, Lwówek Śląski i Jelenią Górę. W tych miastach byliśmy już kilka razy, ale też jeździmy do dalszych miejscowości, jak Szklarska Poręba, Wleń, Karpacz, Polkowice, Lubin, Głogów i Wałbrzych. Obecnie do naszej sekcji należy 28 osób, w tym 2 uczniów szkoły podstawowej w Złotoryi - wnuków Henryka Stachowskiego - Łukasz i Szymon. Obecnie najstarszym członkiem jest Edward Stefańczyk - lat 71.

Już w tym roku entuzjaści z "Heliosa" odbyli 18 niedzielnych wycieczek rowerowych po pięknej Ziemi Dolnośląskiej. Zbieramy się każdej niedzieli o godz. 9.00 na pl. Reymonta przed ZOK-iem w Złotoryi i dosiadamy swych "rumaków", aby znowu przeżyć rowerową przygodę - gdzieś w Legnicy, Bolesławcu czy w Grodzcu. Oprócz tego nasza sekcja organizuje imprezy ogólnodostępne dla dorosłych i młodzieży. Są to cykliczne rajdy: "Warta" od 10 lat, "Wielisławka" od 14 lat oraz ostatnio zorganizowane rajdy to "Grodziec" i "Zielony Rajd" po ziemi złotoryjskiej. Propagujemy i zachęcamy wszystkich mieszkańców ziemi złotoryjskiej do brania udziału w naszych niedzielnych imprezach. Nie pożałujecie - warto wziąć w nich udział - turystyka rowerowa to zdrowie i pełny relaks. Do spotkania w najbliższą niedzielę.

R. Jaźwiński

Po trzeciej już z kolei wędrowce Wążyngą Kra-kowsko-Częstochowską chciałbym zachęcić tych, którzy jeszcze tam nie byli, aby poszli w moje ślady. Dlaczego akurat tam? Po prostu bowiem warto znać wszystko co ciekawe, a i niedaleko po-łożone, co w powiązaniu z kryzysem, nie jest bez znaczenia. Wyruszamy przeto na pięciodniową wy-prawę na trasie Częstochowa-Olkusz, wyposażeni w namiot i jedzenie. Autobusem z centrum Często-chowy (al. NMP, przy barze mlecznym) udajemy się do Mirowa, na petle. Już tu zobaczymy pierw-sze skałki tworzące gardło, w jakie wotywa Warta, no i oczywiście czerwone znaki szlaku, który w tym miejscu nosi nazwę "Jury Wieluńskiej". Prowa-dził on do kilkudziesięciu metrów nad poziomem rzeki, co pewien czas umożliwiając jej oglądanie, a także daje możliwość rzucenia okiem na oddala-jącą się panoramę Częstochowy. W drugiej swej części z kolei daje on możliwość oglądania wież zbli-żającego się kościoła w Wanczerzowie, wsi połączo-nej mostem z Mstowem. Kościół to stary, otoczony murem obronnym, aczkolwiek dzisiejszy kształt uzyskał w dobie baroku. Ale pierwszą budowlę sta-wiali tu... wrocławscy Augustianie. Budowla ma wspaniałą sylwetkę, leży na skalistym wzgórzu, a u jej stóp płynie Warta, pieniąc się na skalnych progach i obmywając stopy Miłosnej Skały owianej legendą. Tu zmieniamy kolor szlaku na niebieski (szlak Orlich Gniazd) i ruszamy na południe. Mija-my wieś Matusy Wlk. l... czas na nocleg w namiocie, rozbitym w małym lasku. Nazajutrz wyrusz-am dalej, przecinam linię kolejową Częstocho-wa - Kłecze, oglądam teren kopalni czerwonych piasków formierskich i niezadługo, idąc skrajem lasu, mogę podziwiać panoramę ruin zamku Olsztyń-

ślaskiego, który zwiedzałem w latach ubiegłych. Za lasem - nowa atrakcja. Ukryta w lesie skałka św. Idziego oraz położona wśród pól studnia jego imie-nia, z uwzględnieniem na łańcuchku dzbanem, aby każdy spragniony mógł się napić. Tu chrzonił się ludzie podczas zarazy, a zgodnie z opowieścią starego pastucha, z którym uciąłem sobie półgodzinną po-gawerkę, jeszcze do czasów wojny św. Idzi "co noc wydeptywał przez zarpane pole ścięgno do studni, idąc do niej od skałek, wśród których nocował". Zaraz wieś Zrzeblice, a w niej kościółek drewniany z osobną dzwonnica, oczywiście z obrazem św. Idziego w głównym ołtarzu. Teraz wyruszam ku Potokowi Złotemu przez dwie wsie ozdobione sporymi skałkami, duży obszar lasów i aleje lipową. To nie byle wieś - siega swymi dziejami wieku XI, gdy była własnością Odrowążów, potem Szrenawit-ów, Potockich, Konicpolskich, a wreszcie Krasin-skich, nie licząc Raczynskich, którzy wybudowali tu pałac. Krasinśki postawił dworek i czerpał z krajobrazu nadchnienie do "Irydiona". Jego rodzina pieczętowała chronią od zakusów kupieckich miej-scowe lasy, tedy po obejrzeniu kościoła z XVI-wie-czynnymi elementami, zagłębiał się w nie, mijając Jaskinię, wywierzysko rzeki Wiercicy, a na koniec ruiny zamku Ostreżnik, położonego na skale, wy-drażonej od spodu wielką grota (w której powstań-cy przechowywać mieli broń, oczywiście ci z 1863 roku). Stąd już niedaleko do położonej wśród piaszczystych i skalistych wzgórz wioski Trzebnów, za którą wśród pól rozbijam na noc namiot. Rano podziwiał malowniczo "wyptywające" z dolinek grupy pielgrzymkowe z Tarnowa - śpiwcy, chorągwie, wszystko to robi wrażenie tak silne, że mam o-chochę zawrócić i iść z nimi. Ale jednak ruszam ku pobliskiej Niegowej, zwiedzam kościół, gdzie drzwi do zakrytych podchodzą z pobliskiego zamku w Bobo-licach, no i ruszam ku owym ruinom, przecinając skomplikowaną drogą przez skałki i bukowe lasy położone na drodze wzgórze. Zamek leży na wyso-kiej skale, widok stąd niezły, szczególnie na sło-strzane ruiny w Mirowie. Stąd idę czerwono-żółtym szlakiem ku Kroczyckim Skałkom, ale wprawę przecin-am linię szerokotorową zaopatrującą w rudę hutę "Katowice" i zalew na potoku Białce. Woda ni-by czysta, ale u brzegu pływa rybka brzuchem do góry...

Skałki Kroczyckie i Rzędowickie przechodzę różnymi kolorami szlaków, trochę na oślep, bo zna-ki znikają na pewien czas, ale gdybyś i ty czytelniku tu się zgubił, wybawia cię z opresji wspinac-zwe, których tu nawczas pełno. Schodzę do wsi Podlesice, gdzie nocowałem w stodole w stanie wojennym, i ruszam dalej ku niedalekiemu już zamczysku w Morsku. Droga prowadzi wśród piaszczystych wzgórz i lasu sosnowego. Sam zamek ma "starsze papiery" niż poprzednie, gdyż służył za gniazdo rycerzy-rozbójników już w XIV w., a w 1327 r. Lokietek odebrał go Toporczykom i ofiaro-wał klasztorowi Kanoników Regularnych. Później posiadł go Włodkowie i to, co do dziś się zachowa-ło - zawdzięczamy właśnie im. Piękne są z jego okolic widoki, ale zmusza to do wroczenia na szlak czerwony i cofnięcia się z drogi. Ja dalej lasem i polami podążam do stóp Okniernia Dużego, wysokiego Ostańca wznoszącego się na terenie wsi Piaseczno. Skała należy do jednych z najoryginal-niejszych w Jurze, połączna, przebita 7-metrowej

Zapewne każdy zaawansowany turysta wie, co to jest "Smogorniak". Niejeden przecież miał przy-jemność przebywać w nim. Nieraz nawet mógł przeżyć obawy, czy aby na pewno wszyscy pomie-szczą się w tak małym obiekcie. Obecnie raczej nie zdarzają się już tak liczne grupy jak dawniej. Wyni-ka to głównie z faktu, iż jest to strażnica SOP i nie wszystkim wolno w niej przebywać. Niemniej nie przeganiam się stąd nikogo bez konkretnej przyczyny. Ci, którzy pozostają na noc, składają przy piecyku i snują wspomnienia. Rzadko jednak z opowiadań tych można dowiedzieć się, co działo się w chatce dawniej, dużo dawniej. Mało kto bowiem pamięta tamte czasy, jako że przebywający tu ludzie wciąż zmieniają się. Zachowane dokumenty, które nie-przypadkowo trafiły w moje ręce, przybliżają zna-cznie tamte stare wydarzenia.

Dawniej w „Smogornia-ku”

I tak początkowo, gdy "Smogorniak" był w władaniu Klubu Sportowego "Stal" Cleplice, przeby-wały w nim kilkunastoosobowe grupy miłośników białego szalenstwa. Odwiedzali oni tym chętniej chatkę, że w jej pobliżu znajdowało wyciąg narciarski. Oczywiście, niejednokrotnie zdarzało się, iż wraz z narciarzami przybywali ich znajomi czy rodziny. Były to jednak przypadki ogólnie przyjęte i dozwolone, po uprzednio uzyskanej zgodzie gospo-darza schroniska. Ustalony regulamin mówił, że do ogólnego użytkowania przeznaczają się izbę kuchenną. Natomiast drugie, właściwe pomieszczenie było pod nadzorem gospodarza, bez wiedzy i zgody którego nie można było z niego korzystać, aby nie uznano tego za włamanie. Oczywiście regulamin ściślej określał obowiązki dla przebywających w "Smogornia-ku". Każdy z nich musiał wpisać się do książki meldurkowej oraz dostarczyć i przygotować opał (drewno) o masie od 5 do 20 kg.

Tak bywało pod koniec lat 50. i w latach 60. Zmieniło się to w latach 70., kiedy schron turys-tyczny przejęło koło PTK nr 12 przy Fabryce Ma-szyn Papierniczych w Cleplicach.

Wówczas to ten przytulny obiekt zaczęto wyko-rzystywać jako schronisko, tyle tylko że o dosyć prymitywnym wyposażeniu i spartańskich warunkach pobytu. Jednak nie było praktycznie żadnych przeszkód, aby z niego korzystać. Można tutaj zacyto-wać regulamin ustalony w 1972 r. Pisze w nim między innymi: "pkt 2. Chatka przeznaczona jest jako schron turystyczny podczas niekorzystnych warunków atmosferycznych oraz w wypadkach loso-wych wymagających korzystania z niej. pkt 3. Ze względu na położenie swe w strażnicy przycygnięj obowiązuje ściśle przestrzeganie przepisów odnoszą-cych się do tej strażnicy, jak: wpisywanie do książki danych personalnych oraz godzin przyścia i odesz-cia. Strażę przycygnięj należy opuścić przed zapadnięciem zmroku. pkt 4. Karkonoski Park Naro-dowy może wydać zezwolenie na korzystanie z no-cowania w chatce turystycznej pod warunkiem, że patent(cil) uzgodni to ze strażnicą WOP...".

Tyle regulaminu, a jak wyglądała praktyka? Prze-śledźmy to na podstawie zachowanego wykazu ze-zwoleń na pobyt w "Smogornia-ku" obejmującego ze-zwolenia wydane w latach 1972-1977. Każdorazowa grupa osób chętnych na pobyt w chatce składała podanie i otrzymywała zezwolenie, które następnie potwierdzone przez WOP odsyłała do koła PTK nr 12. Dzięki zachowanym dokumentom możemy wyliczyć, że w chatce przebywało około 200 osób. Oczywiście nie byli to wszyscy, jako że trafiali się również turyści bez zezwoleń. Najczęściej kor-zystali z pobytu członkowie Studenckiego Klubu Turystycznego "Piłzik" z Łodzi oraz grup z terenu obecnego województwa jeleniogórskiego. Spośród tych dawnych turystów najczęściej powtarzały się następujące nazwiska: Michał Raźniewski, Kazimierz Śmiaśko, Józef Czurka, Mariusz Czernski. Z osób kontrolujących należy wymienić Władysława Onosz-kę, Kazimierza Krawczyka, a z wydających zezwo-lenia Kazimierza Krawczyka, Andrzeja Szwarca i Krzysztofa Tęczę. Prawda, że wiele z powyższych nazwisk jest znanych i dzisiaj. Z ramienia KPN zezwolenia podpisywali Tadeusz Kusiak i Henryk Tracz.

W roku 1977, kiedy to chatka stała się strażnicą SOP, nieco przystopowano pobyty tak licznych grup. Obecnie prawie zawsze są tutaj patroli SOP i panuje w miarę porządek. Należy mieć nadzieję, że taki stan rzeczy utrzyma się jak najdłużej i że jak najdłużej "Smogorniak" będzie mógł przyjmować ochraniających i ludzi kochających góry.

Krzysztof Tęcza

Pojedź w te strony ...

wiatr rzuca mi do gotowanej stawy liście i drob-ne gałzki - ani chybi - duchy zamczyska. Trzeba się zbierać w drogę, żegniam więc Lokietkowej je-zszcze prownienicji ruiny i przez rezerwat krajo-brazowy schodzę do dolinki, której lewy bok stano-wi skalna ściana z jaskiniami. Niebawem już w le-sie mijam powstańczą gajówkę Piłarskiej i rzeczy-wicie, rzuca się na mnie potężne wilczysko, ale w celach pokojowych - odprowadza mnie po przy-jacielsku około trzech kilometrów. Gubię go w le-śnej osadzie i schodzę do Żwiężła, na nocleg w kolejną noc z burzą i deszczem. Rano okazuje się, iż tylko pół kilometra dzieliło mnie od ruin zamku koło historycznych Krzywopłotów. To tu niedługo egzystował kalwiński zbor, a w 1914 roku bohater-scy legionści Piłudskiego wojowali z przeważającymi siłami Rosjan. Pamiętają tych walk są stare okopy i duży pomnik - krzyż na cmentarzu, ponownie odkryty dla Polski w roku 1989, gdy odbyły się tu uroczystości apelu poległych zorganizowanego przez środowisko, bodaj katowickie.

Później, idąc przez sosnowe lasy na łagodnych wzgórzach, docieram do stacji PKP Jarosławiec Olkusz. Okazuje się, że choć mam mapę z 1988 roku, jest ona już nieaktualna. Szlak zielony został zastąpiony czerwonym, gdyż zwiedzanie Pustyni Błędowskiej straciło sens, z racji jej całkowitego zarośnięcia lasem i zajęcia przez jakieś przedsię-biorstwo eksploatacji piasku. Nie zobaczę więc pol-skiej Pustyni, o której ucyłem się jeszcze w szko-le podstawowej - trochę żal, ale wynagradzają mi to skałki na szlaku, nowy odlew amonitu znalezione przy drodze, no i spotkanie z grotolazami, które-ry wychodziły właśnie z głębin studni, jaką jest w istocie Jaruszkowa Szczelina, do której dotarłem dość skomplikowanym dojściem. Jeszcze trochę lasu i oto przy szosie nowe potężne ruiny - zamek Rabsztyn. Nie korzystam z pobliskiego zajazdu, bo za drogę i na dziedzińcu gotuję sobie pożełgalny obiad, gdyż do Olkusza -jeszcze tylko cztery kilo-metry. A ruiny są licznie odwiedzane przez turyst-ów i bardzo malownicze. To tu w roku 1563 het-man Jan Zamojski wyprawiał wesele biorąc za żonę bratową króla Stefana Batorego. Później zamek rozbudowano i uczyniono z niego renesansową rezy-dencję, a spalili go nam Szwedzi w 1657 roku. Je-szcze w 1831 roku działała tu powstańcza wytwór-nia prochu, a teraz zamek powoli się konserwuje. Teraz do Olkusza - "ojca" naszego górnictwa rud cynkowo-olowiowych. Ma długą i ciekawą histo-rię, którą z braku miejsca - pozostawiam na kar-tach dostępnych przewodników - oczywiście w celu precyzytania. Zwiędzam więc jeszcze tylko kościół parafialny z czerwonego piaskowca, szczytujący się malowidłami naściennymi z XIV w. i stalami z ro-ku 1594. Warto wspomnieć o ołtarzu - gotyckim, a przypominającym krakowski z kościoła Mariackiego.

Mijam jeszcze w drodze na dworzec w miarę malowniczy rynek i już tylko minuty dzieli mnie od powiedzenia "do zobaczenia". I jakby groźne memento, po kilku kilometrach podróży, zamiast soczystej zieleni lasów, aż do samych Katowic o-glądam księżycowy krajobraz Huty Katowic, Bu-kowna, Bytomia. A jakże stąd niedaleko do zacza-rowanego świata zamków, skałek i legend.

Stanisław Jastrzębski



Niektórzy nasi dziadkowie dobrze jeszcze pamiętają piękny sylwestrowy wieczór 1928 roku. Powoli spadały płatki kłębiącego się w powietrzu śniegowego puchu. Śnieg sypał przez całą tę uroczą noc, dodając jej niepowtarzalnego uroku. Po rześcicie oświetlonych salonach strzelały butelki wyborowego szampana, na parkietach balowały dystygowane pary w rytmie najnowszych przebojów; odbijano butelki wódki, krecono się przy dźwiękach akordeonów i gramofonów na ludowych zabawach i domowych przyjęciach. A za oknami nieustannie obsuwały się z nieba na ziemię migocące w świetle latarni śniegowe płatki. Padało przez cały Nowy Rok. Padało też przez wiele, wiele następnych dni.

Super zima 1929

Tak samo było również w Sudetach. Cóż więc dziwnego, że na przykład w położonej w jednej z sowigórskich dolin, Nowej Bielawie już po niedługim czasie grubość śniegowej pierzyny osiągnęła 120 centymetrów. Najgrubsza zaś zmierzona w tej miejscowości w styczniu 1929 roku pokrywa śnieżna wynosiła aż 150 centymetrów. Tak, półtora metra!

Same upady śniegu - nawet tak obfite - stanowiły jednak zaledwie połowę katastrofy, przy tym wcale nie najgroźniejsza, doszły do tego bowiem nadzwyczaj ostre mrozy. To właśnie o nich najczęściej wspominają nasi starszyskowie. Bo rzeczywiście, 11 lutego mróz osiągnął w rejonie sudeckim aż -34° Celsjusza. Jak na nasze warunki - dużo, bardzo dużo! Była to najniższa zanotowana tutaj temperatura od 1791 roku, a zatem od prawie 140 lat.

Ofiara takiej okrutnej zimy padły w pierwszym rzędzie niezliczone ilości dzikiej zwierzyny, padły z zimna i braku pokarmu. Wygłodniałe sarny zamarały na śmierć całymi stadami. Osłabione ptactwo sztywniało w powietrzu i spadało martwe na ziemię. Jedynie drapieżniki miały obfitość pokarmu i to bez żadnego specjalnego zachodu. Nawet poczciwy nasz Duch Gór zaszył się głęboko w swym podkarkonoskim zimowisku, skąd rzadko kiedy wystawiał głowę, aby obejrzał przemarznięte do szpiku ukochane Sudety.

Cieężkie chwile przeżywali także ludzie. Lekarze musieli leczyć mnóstwo najrozmaitszych odmrożeń. Przede wszystkim zaś ucierpiały uszy, nosy i kończyny, które ludziska - jak zwykle w takich okolicznościach - najczęściej i najdotkliwiej odmrażali. Szczególnie nieproszonym gościem była owa zima dla wynędzniałych licznych wtedy bezrobotnych. A przypomnijmy, że były to akurat lata największego bodaj w XX stuleciu kryzysu ekonomicznego, kryzysu ogólnowiatowego.

I jedynie zamożniejsi miłośnicy sportów zimowych nie narzekali, gdyż mogli uprawiać swoje hobby jak rzadko kiedy. Aż do końca marca zima bowiem nie chciała popuścić i ostro trzymała. Na przykład wzdłuż tak zwanej kolei soigórskiej, głównie zaś w okolicach podbielawskich Kamieniczek, po obu stronach torowiska potworzyły się prawdziwe śniegowe ściany, sięgające miejscami 4 - 5 metrów wysokości. Z takimi masami "białego puchu" nie mogły sobie poradzić nawet najsilniejsze lokomotywy, uzbrojone w najcięższe pługi do odśnieżania torów. Musiano zatem przekopywać się przez nie ręcznie, posługując się jedynie zwykłymi łopatami i szuflami. Bo tak to już jest, tam gdzie zawodzi technika, do akcji wkraczają ludzkie mięśnie.

Aliści skutki tej jakże surowej zimy odczuwano także po jej ustąpieniu. Lato tamtego pamiętnego roku nie sypnęło bowiem zbyt nim urodzajem. Zbiory zaś owoców były wręcz

siabiułkie, gdyż zdecydowana większość drzew i krzewów owocowych po prostu wymarżała.

Czy można zatem dziwić temu, że zima 1929 roku pozostała w umysłach ówczesnego pokolenia na całe życie, choć przyszło mu przeciwieństwo doświadczyć wszystkich okrucieństw drugiej wojny światowej.

JULIAN JANCAK

Oleśnicki minifestiwal

17 marca br. w Klubie Spółdzielni Mieszkanicowej "Zacisze" w Oleśnicy - "Korelat 2" Krzysztof Rychlewski i Czesław Komikowski zorganizowali Wiosenny Festiwal Piosenki Turystycznej. Zespoły i indywidualni wykonawcy prezentowali przeboje turystycznych tras bawiąc wspaniale publiczność i siebie. Jury, któremu miałem przyjemność przewodniczyć, przyznało w grupie solistów I miejsce Agnieszce Mężyk, w grupie maluchów zespołowi Szkoły Podstawowej w Niechliszowie, a w grupie dzieci starszych zespołowi Szkoły Podstawowej nr 2 w Oleśnicy. Oprócz dyplomów wręczono atrakcyjne nagrody ufundowane przez Chorągiew ZHP, MDK, SM "Zacisze" i Oddział PTTK w Oleśnicy. Gratuluję uczestnikom i organizatorom pomysłu i wspaniałej imprezy.

Walerian Pietrzak



Schronisko "Kochanówka"

Prezentując w lipcu ubiegłego roku osiągnięcia Szkolnego Koła PTTK przy Szkole Podstawowej nr 6 w Oleśnicy przewidywałem, jako opiekun Koła, że nasze wielostronne działania przysporzą nam w 1989 r. jeszcze większych sukcesów. Tak się właśnie stało, o czym poniżej. Splendory takiego stanu stały się przede wszystkim udziałem młodzieży oraz szerokiego grona nauczycieli szkoły. Zobowiązany jestem podziękować właśnie im, gdyż zapal dzieci do uprawiania turystyki i krajoznawstwa był możliwy do zrealizowania dzięki m. in. Marii Zajackowskiej, Dorocie Tarka, Danucie Chojaczyk, Bożenie Brudzińskiej, Marii Hałapacz, Jolancie Przybysz, Marii Portalskiej, Katarzynie Nowatkowskiej, Dorocie Czuba, Elżbiecie Grędyśa, Bożenie Łukoszko, Krzysztofowi Rychlewskiemu i wielu innym.

Na podsumowanie minionego roku składa się blisko 120 wycieczek jedno- i wielodniowych organizowanych przez Koło i poszczególne klasy, impreza "Ferie z plecakiem", II Pleszy Rajd "Szóstki" po Ziemi Oleśnickiej, obóz wędrowny "Szlakiem Jezior Rynnowych", Młodzieżowy Tydzień Turystyki, Wystawa Kolekcjonerstwa, gazetki i apele. Tak właśnie uroczysty apel odbył się 21 marca, a potem

Młodzi turyści

większość klas pomaszzerowała... na trasy wokół Oleśnicy. Młodzi działacze Zarządu Koła, z prezesem Justyną Kowalską, wręczyli swoim koleżankom i kolegom oraz wychowawcom zdobyte przez nich odznaki turystyczne. Żalowali tylko, że nie prowadził się rywalizacji między szkołami w tej dziedzinie. Srebrną odznakę "7-milowe buty" zdobyło 145 uczniów, złote - 29, popularne OTP - 34 osoby, małe brązowe OTP - 11, małe srebrne OTP - 2 (w tym 1 uczeń), popularne GOT - 25, małe brązowe GOT - 3, MOK - 23 uczniów.

Kiedy po półrocznej działalności szkoły powołaniem w lutym 1987 r. Szkolne Koło PTTK, nie sądziłem, choć optymistą byłem zawsze, że turystyka wygra współzawodnictwo z komputerami, grami i filmami video. Dziś cieszę się, że wśród zapracowanego i zmęczonego trudnym życiem grona, głównie żeńskiego, znalazłem tylu pasjonatów i sprzymierzeńców. Obok mnie czworo będzie miało w tym roku uprawienia organizatora turystyki PTTK (trochę kończy kurs). Taka atmosfera sprzyja dalszym planom, a wędrowki nowym pomysłom. Opracowane przeze mnie informatory (dostępne w bibliotece szkolnej) zdały także egzamin, gdyż szczegółowo orientują w zorganizowaniu wycieczki.

Od stycznia rozpoczęliśmy "Wędrowki dookoła Wrocławia". Chwyciło i na apelu (po 2,5 miesiącu) wręczono "tylko"... 105 odznak za przejście poszczególnych odcinków. W chwili, gdy piszę te słowa, kolejnych 46 uczniów przeszło w sobotę trasę Miękinia-Brzezinka Średzka. Pełną parą idą przygotowania do III Pleszego Rajdu "Szóstki" po Ziemi Oleśnickiej, kiedy ok. 500 uczestników pójdzie 2 czerwca siedmioma trasami z Twardogóry do Boguszyca. W sobotę 31.03 przyjmujemy uczestników strefowych eliminacji XX Olimpiady Turystyczno-Krajoznawczej. W wakacje organizujemy dwa obozy wędrowne "Przez Bory Tucholskie" i "Konin-Słupca". A o popularności naszej organizacji w szkole świadczy fakt, że blisko 300 trampów (ale naprawdę czynnych) już opłaciło składki członkowskie.

Walerian Pietrzak

W miarę coraz intensywniejszego opanowywania Tatr przez człowieka, a tym samym niszczenia pierwotnej ich przyrody, wyłoniło się, podobnie jak i w innych regionach kraju, zagrożenie konieczności ochrony przyrody oraz prowadzenia planowej gospodarki na tych terenach. Stopniowo, dzięki postępowi wiedzy i techniki, człowiek zyskiwał nad przyrodą przewagę, ogarniał swą gospodarką coraz to większe przestrzenie zmieniając w ten sposób pierwotną przyrodę gór. Niezwykłe wartości krajobrazowe i przyrodnicze Tatr sprawiły wszakże, że już w XIX w. rozpoczęto zabiegi o ustawowe wzięcie ich w ochronę. Opanowane przez człowieka góry trzeba chronić, gdyż zniszczenie spowodowane przez niego nabiera katastrofalnych rozmiarów. Dotyczy to zwłaszcza okrywającej Tatry szaty roślinnej. Tam, gdzie proces zniszczenia posunięty jest bardzo daleko, niezmiernie trudno jest odtworzyć z powrotem naturalny zespół roślinny raz zniszczony. Wielkim niebezpieczeństwem dla roślinności górskiej są urządzenia i inwestycje, jeśli zostały przeprowadzone nieodpowiednio i na zbyt dużą skalę. W Tatrach są one szczególnie groźne ze względu na ich mały obszar. Przy masowym ruchu zwiedzających ten obszar nieświadomione osoby wyrządzić mogą duże szkody roślinności. Dlatego też nie może ustawać akcja uświadamiania szerokich mas o wartościach

polu było doprowadzenie w latach 1868-1869 do ustawy sejmowej "względem zakazu łapania, wyępienia i sprzedawania zwierząt alpejskich właściwych Tatom, świstaka i dzikich kóz". W 1873 r. powstało Towarzystwo Tatrzańskie, pierwsze stowarzyszenie turystyczne na ziemiach polskich. W pierwszym swym statucie organizacja ta wśród celów podaje ochronę kozic i świstaków oraz w późniejszym czasie również i rzadkich roślin wysokogórskich. Od samego początku zawiązania TT skupieni w nim działacze zdawali sobie sprawę, że jednym z głównych zadań musi być ochrona przyrody gór. W początkowej działalności odczuwano skutki ery zbrojniczej oraz kłusownictwa. Kozica i świstak zaczęły ginąć w przerażającym tempie, Towarzystwo, w tak nagłej chwili, utworzyło straż górską i spowodowało nakładanie kar przez władze na kłusowników.

Po opanowaniu niebezpieczeństwa zagłady, grożącej kozicom i świstakom, uwaga Towarzystwa skierowała się ku sprawom leśnym. Sposzczone wielkie niebezpieczeństwo dla Tatr wywołane niszczeniem lasów. Alarmowano o rabunkowej gospodarce leśnej, przede wszystkim w dobrach zakopiańskich, będących wówczas w posiadaniu kapitalistów niemieckich. Do zniszczeń wywołanych użytkowaniem drzewa do wytopu żelaza z rud tatrzańskich, których dobywanie zaprzestano dopiero w 2 poł. XIX

brało rozmiary katastrofy. Wszczęto rozległy alarm. W 1886 r. rozpoczęły się starania o utworzenie osobnego Towarzystwa Ochrony Tatr Polskich. Obrało sobie ono za cel zakupienie Tatr, ażeby chronić ich przyrodę, jednak z braku dostatecznych środków nie zdołano tego uczynić. Zrobił to w 1889 r. Władysław Zamojski, który wprowadził gospodarkę racjonalną i na nowo zalesił wyniszczone partie gór. W tych okolicznościach w 1888 r. Bogusław Królikowski, bywający w Tatrach jako turysta, pierwszy zgłosił hasło utworzenia z Tatr parku narodowego. Nikt jednak jego ideał nie poparł.

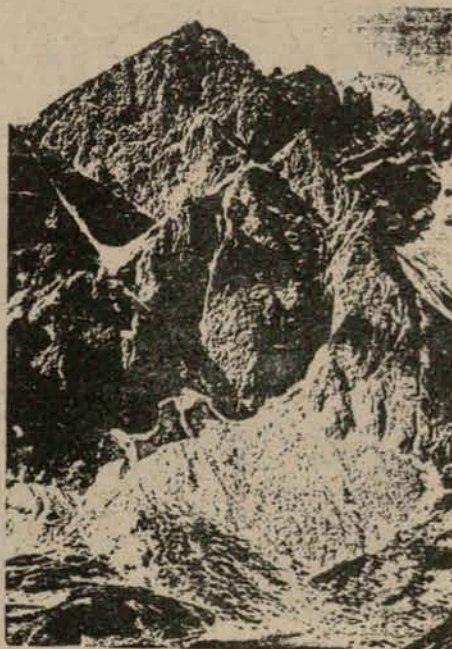
Dewizą TT było: "badać i uprzystępniać Tatry oraz chronić kozicę i świstaka". Ale to już nie wystarczało. Nadszedł czas, by rozszerzyć działalność w dwóch kierunkach: ochrony Tatr przed niekulturalnymi turystami przez prowadzenie odpowiedniej akcji uświadamiającej i wychowawczej w szerokich sferach społeczeństwa oraz ochrony Tatr przed nadmiarem inwestycji turystycznych. Jednym z pierwszych, który zabrał w tych sorawach głos, był Mieczysław Karłowicz, głosząc na łamach czasopisma "Taternik" hasło: "Sznujcie ciszę i majestat górski". Odzewem było nawoływanie do akcji przeciwko zaśmiecaniu gór i zakusom spekulantów na piękno Tatr i pierwotność ich przyrody. Wysłunięto na nowo myśl o parku narodowym oraz we-

Z HISTORII OCHRONY TATR

(w związku z nowym „kolorowym zawrotem głowy”)

moralnych i materialnych, jakie przedstawia roślinność górską w stanie niezniszczonym przez człowieka. W Tatrach całość roślinności musi być pod ochroną.

Innym, niezmiernie ważnym zagadnieniem dla ochrony przyrody tatrzańskiej, jest turystyka. Do końca XVIII w. nie miała ona żadnego trwałszego wpływu na stan przyrody, gdyż ruch turystyczny nie był jeszcze rozwinięty na dużą skalę. Ówczesni turyści strzelali z broni palnej dla wywołania echa, polowali na kozice lub też na ich widok wydawali przeraźliwe wrzaski. W 1. poł. XIX w. duży wpływ na późniejszy rozwój turystyki wywarli naukowcy. W pracach uczonych i turystów znaleźć można słowa zachwytu nad przyrodą tatrzańską, ale rzadko kiedy w owych latach zauważano, że przyroda ta jest już mocno zagrożona i trzeba ją chronić. Był to wówczas okres pełnego rozkwitu górnictwa i hutnictwa w Tatrach. Rzadziej już rozlegały się strzały, gdyż zwierzyna została mocno przetrzebiona, mimo to nie zaprzestano polowań. Nawet późniejsi działacze Towarzystwa Tatrzańskiego brali udział w polowaniach na nieliczne już wówczas kozice i nie wyrażali troski o stan tego ginącego zwierzęcia. Niedźwiedź również stał się rzadki, a świstak tępony był przez zabobornych górali. Nadszedł jednak przewrót w stosunku zarówno naukowców, jak i turystów do przyrody tatrzańskiej, przede wszystkim do kozicy i świstaka. Po słowach podziwu i zachwytu przyszły alarmujące okrzyki o ginięciu tych zwierząt i o niezwłocznej potrzebie ich ochrony. Pisano na ten temat w czasopiśmie naukowym, wydawano ulotki kierowane do ludności góralskiej, ustnie propagowano ideę ochrony kozicy i świstaka. Pierwszym realnym osiągnięciem na tym



Tatry

w., przybyły straszliwe spustoszenia wywołane chciwością i spekulacją ludzką. W wydawnictwach Towarzystwa rozbrzmiewały doniosłe głosy o ratunek. W "Pamiętniku" Lettner ogłosił artykuł "Projekt ratowania lasów tatrzańskich, a szczególnie zakopiańskich od grożącego im zniszczenia". Przedstawił w nim obraz fatalnego stanu lasów, zaś jeden z inicjatorów TT - Pławicki, wniósł w 1885 r. w Sejmie interpelację w sprawie zalesienia nieużytków tatrzańskich. Aż wreszcie zniszczenie lasów przy-

zwano TT do wypowiedzenia swego zdania na ten temat. Ówczesni działacze TT kierowali się jednak hasłami dalszego udostępniania Tatr przez coraz to nowe inwestycje wewnątrz gór. Wobec masowej turystyki i związanego z nią niszczenia roślinności oraz zwierzyny Tatr, na zebraniu Sekcji Przyrodniczej wysunięto wniosek utworzenia Towarzystwa ochrony przyrody tatrzańskiej i w lutym 1912 r., pod przewodnictwem Jana Gwalberta Pawlikowkiego, zawiązano Sekcję Ochrony Tatr TT, która rozpoczęła ożywioną propagandę ideału ochrony przyrody tatrzańskiej. Powstanie jej zbiegło się z gorącą walką ze zwolennikami budowy kolejki zębatej na Świnicę. Energiczna akcja uwięziona została powodzeniem i projekt został odrzucony. Zadaniem było: - dążenie do zabezpieczenia Tatr przed czynnikami zacierającymi pierwotny charakter krajobrazu tatrzańskiego, - opieka nad właściwymi okolicom górskim rzadszymi gatunkami roślin i zwierząt, - przeciwdziałanie zaśmiecaniu gór i niewłaściwemu zachowaniu się człowieka w stosunku do przyrody.

Pawlikowski w 1913 r. wysunął całokształowy program ochrony Tatr. Zwrócił w nim uwagę na problem istnienia dwóch dających się pogodzić z sobą tendencji: uprzystępnienia i zachowania Tatr. Mocno podkreślił fakt nieodnawialności przyrody i związaną z tym konieczność jej ochrony. Przyparował dzieła sztuki do dzieł przyrody. Te pierwsze "mogą być zastąpione przez inne; dzieła przyrody, raz zniszczone, zostają zniszczone na zawsze". Zamknął w końcu problem uprzystępniania Tatr i mocno zaznaczył, że nie może on być uważany za cel

ciąg dalszy na str. 8

ciąg dalszy ze str. 7

główny działalności TT i nie można tylko na tym poprzestać. "Towarzystwo Tatrzańskie winno się uważać za odpowiedzialnego stróża Tatr, cenego klejnotu, jakiemu w koronie Rzeczypospolitej nie ma równego. Ma ono klejnot zachować w całej krasie nietknięty, dla przyszłości".

Do niewątpliwych zasług TT zaliczyć można przede wszystkim obalenie projektu budowy kolejki na Świnicę i schroniska na ryglu skalnym, uważając za słuszną usytuowanie go na Hall Gasienicowej.

Rozwijającą się działalność Sekcji przerwała I wojna światowa, która przyniosła przyrodzie Tatr ogromne szkody. Po jej zakończeniu odnowiła się działalność Sekcji Ochrony Tatr TT. W 1919 r. przedłożyła ona swój nowo opracowany i rozszerzony program, w którym zawarte zostały wnioski co do ochrony krajobrazu, żywej i martwej przyrody Tatr, uregulowania turystyki, badań naukowych oraz idea utworzenia z Tatr rezerwatu. Chciano zachować Tatry w całości, jako rezerwat. Ze względu jednak na to, że gospodarka ludzka od wieków istniała w niektórych ich częściach, nie było możliwe stworzenie z całych Tatr rezerwatu ścisłego. Miały być nim te części, gdzie człowiek nigdy nie gospodarował, natomiast resztę Tatr mia-

rażka nie przeszkodziła podjęciu działań w sprawie utworzenia w Tatrach Parku Narodowego.

Równoległe do akcji ochrony w Tatrach rozwijała się w tym czasie podobna akcja po stronie czechosłowackiej. Miała ona podobny przebieg jak u nas. Podobne były również problemy. Komisja ta opracowała projekt utworzenia TPN po stronie słowackiej Tatr, który nie wszedł w życie z powodu wybuchu II wojny światowej. Przerwała ona tok tworzenia TPN po obu stronach granicy. Do idei tej wrócono ponownie po 1945 r. Władze polskie utworzyły w dwa lata później jednostkę administracyjną Lasów Państwowych - Tatrzański Park Narodowy, a w 1948 r. został powołany TANAP. Wielkim osiągnięciem idei ochrony przyrody tatrzańskiej po wielu latach zabiegów i starań było ostateczne zorganizowanie i utworzenie rozporządzeniem Rady Ministrów z 30.10.1954 r. polskiego Tatrzańskiego Parku Narodowego. W ten sposób na terenie Tatr, po obu stronach granicy powstały parki narodowe, dostępne na podstawie konwencji polsko-czechosłowackiej, gwarantujące ochronę przyrody tatrzańskiej i zabezpieczające teren przed zniszczeniem. Na terenie TPN zostały wydzielone pewne obszary, które traktowane są jako ścisłe rezerваты, wyłączone zupełnie z ruchu turystycznego celem zachowania



PRZEWODNI- CKIE ŚWIĘTO

Spotkaliśmy się kolejny raz. Przewodnicy sudeccy i "ludzie gór" z Węgier, Niemiec i Czech 10 sierpnia weszli na najwyższy szczyt Karkonoszy, aby uczestniczyć w swoim święcie w dniu św. Wawrzyńca, pod którego wezwaniem znajduje się kaplica na Śnieżce.

Organizacją naszego święta zajęli się tradycyjni Koledzy - przewodnicy sudeccy z Karpacza i Jeleniej Góry. W tym roku jego obchody zaczęły się już w przeddzień, tj. 9 sierpnia po południu, kiedy to grupa "chłopców" z Górskiej Szkoły Przewodników dała pokaz wspinaczkowy na Kruczych Skałach w Karpaczu.

Następnego dnia rano większość z nas wyjechała wyciągiem na Kopę (za darmo!) i dalej ruszyliśmy na Śnieżkę po drodze wstępując do zawsze przyjaznego nam schroniska na Równi. Dokładnie w samo południe uczestniczyliśmy we mszy św. koncelebrowanej przez 10 (!) księży. I znowu, kolejny raz wysłuchaliśmy pięknej homilii, m.in. o naszym posłannictwie w służeniu swoją wiedzą i umiejętnością ludziom wędrującym po górach, których piękno, niestety, zostało ostatnio brutalnie okaleczone trującymi substancjami opadającymi na resztki ocalałych świerków i kosodrzewiny. Uroczystość podniosła, ale był na jej początku mały zgrzyt, o którym należy wspomnieć. Otóż na wstępie zostaliśmy wszyscy powitani po polsku i... niemiecku. Wszystko byłoby dobrze, gdyby witający uczynił to również po czesku (konieczni!) i węgiersku. Szczególnie dzisiaj miało to dla większości z nas niemiły akcent. Po mszy i wspólnym zdjęciu przed kaplicą, w miejscu, gdzie jeszcze do niedawna stało stare obserwatorium, zeszliśmy na Symboliczny Cmentarz Ludzi Gór w Kotle nad Łomniczką. Tam krótko w atmosferę tego miejsca wprowadził nas kol. Jerzy Pokój, po czym złożono kwiaty pod krzyżem i zapalono znicze przed tablicami z nazwiskami naszych zmarłych Kolegów.

Stąd część zeszła w dół do Karpacza, większość jednak ruszyła w górę i dalej w słońcu, deszczu i wietrze doszliśmy do "Samotni", gdzie czekał na nas już ze smakowitym obiadem (à 12 000,- zł) jak zawsze uśmiechnięty Kolega Waldemar Siemiąszko.

Potem kilka kolejnych, krótkich wystąpień, wręczenie honorowych dyplomów i odznak Górskiej Szkoły Przewodników dla tych uczestników, którzy nie są przewodnikami, a wzięli udział w naszym święcie (z Wrocławia otrzymał je znany krajoznawca, honorowy przewodnik sudecki KPTIS "RZEPIÓR" - prof. J. Janczak.

Na Śnieżkę tego dnia dotarło ponad pięćdziesięciu przewodników, nieco więcej niż w ubiegłym roku. Z Wrocławia było jedenaście osób, ale dla dwójga wyjazd ten okazał się pechowy: Kolega Czesław, nestor naszego przewodnictwa skreślił nogę w kolanie, a Koleżanka Irena - w kostkę. Myślę jednak, że i Oni będą ten dzień długo pamiętać - dzień niepowtarzalny w naszym przewodnickim kalendarzu.

Na zakończenie chciałabym dodać, że w tegorocznym święcie przewodników sudeckich uczestniczyli również: wojewoda Jeleniogórski i burmistrz m. Karpacza, a Kolega J. Pokój od ostatnich wyborów samorządowych pełni funkcję przewodniczącego Rady Miejskiej w Karpaczu.

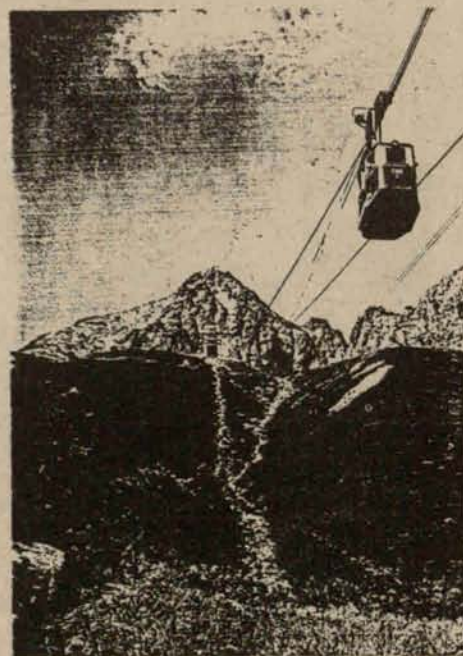
Barbara Kopydłowska

Z HISTORII OCHRONY TATR (w związku z nowym "koloro- wym zawrotem głowy")

no zachować jako półrezerwat, w którym mogłaby być prowadzona gospodarka pasterska i leśna pozostająca pod kontrolą odpowiednich organów. Zadaniem Sekcji Ochrony Tatr przyszło z pomocą powołanie przez pierwszego ministra Oświaty Polski międzywojennej w 1920 r. Ksawerego Praussa, zasłużonego pracownika Państwowej Komisji Ochrony Przyrody (w 1925 r. przekształciła się ona w Państwową Radę Ochrony Przyrody, na czele której stał aż do 1949 r. Władysław Szafer).

W 1920 r. w wyniku zebrania PKOP i SOT w sprawie rezerwatu tatrzańskiego powstał projekt utworzenia w Tatrach Parku Narodowego. Dotyczył on następującej problematyki: - ochrony krajobrazu, - ochrony przyrody żywej i martwej, - ujęcia prawnego zagadnienia. W tych też latach pojawiło się po raz pierwszy zagadnienie objęcia ochroną przyrody obszarów Tatr po obu stronach granicy. Celem zrealizowania planów pogranicznych parków narodowych w 1924 r. odbyły się konferencje polsko-czechosłowackie. W ich wyniku uznano za niezbędne utworzenie parków, obejmujących przylegające do siebie terytoria polskie i czechosłowackie. Następnie 8 i 9.12.1925 r. odbyła się konferencja z udziałem przedstawicieli Polskiej Akademii Umiejętności i Czeskiej Akademii Nauk, której zadaniem było ustalenie orzeczenia naukowego tych projektów. Jej wynikiem stał się protokół, którego zagadnienia są do dzisiaj podstawą precyzowania zagadnień ochrony przyrody Tatr po obu stronach granicy.

Do najdotkliwszych kłesk, jakie poniosła TT w okresie międzywojennym była budowa kolejki na Kasprowy Wierch, dokonana z pogwałceniem wszelkich zasad i obowiązujących ustaw. Jednak nawet ta po-



Wyciąg na Łomnicę

wania przyrody tatrzańskiej w możliwie najbardziej pierwotnym stanie.

Mimo upływu lat, nadal aktualne są postulaty jak najściślej ochrony przyrody tego unikatowego w Polsce regionu.

Magdalena Mładzka

Tak, to już pięć lat minęło od 7.11.1984 r., kiedy to w pomieszczeniach Zarządu Oddziału Dzielnicowego PTTK Wrocław-Fabryczna spotkały się 22 osoby, by powołać do życia Międzyczłonek Club Kajakowy (nieco później ustalono, że nazwa będzie brzmieć Klub Turystyki Kajakowej) "Nektos", zapisanym w PTTK-owskich annałach pod kolejnym numerem "5" i od początków swego istnienia zarejestrowany także w Polskim Związku Kajakowym.

Pierwsze kroki

Większość wówczas zebranych stanowili świeżo upieczeni absolwenci wrocławskich uczelni, najaktywniejsi członkowie akademickiego klubu kajakowego przy Akademii Rolniczej noszącego nieoficjalną nazwę "Nektos". Młodzi ludzie nie chcieli wraz z ukończeniem studiów pożegnać się z tą wielką przygodą, jaką stała się w ich życiu turystyka kajakowa - jedna z najpiękniejszych i najzdrowszych form spędzania wolnego czasu. Wśród nieco starszych uczestników założycielskiego zebrania dominowali członkowie trzech rodzin zgłaszający zbiorowy akces do tworzonego klubu. Okoliczności te zdecydowały nie tylko o nazwie, ale i o dość specyficznym, bardzo sympatycznym charakterze nowego klubu.

Zebrań członkowie-założyciele byli entuzjastami

chód od Berlina), możliwe jest dzięki gościnności sekcji kajakowej berlińskiego klubu "Tiefbau", z którym łączą "Nektos" bardzo serdeczne kontakty.

Choć nasz jubilat nie należy do klubów dużych, to jednak także na wielkich imprezach odnosi znaczące sukcesy. np. w sezonie 1988 zajął VII miejsce drużynowo na Międzynarodowym Spływie Kajakowym Popradem I II miejsce na Bobrze. W obu wypadkach były to pierwsze lokaty w konkurencji klubów krajowych, gdyż przed "Nektosem" uplasowali się jedynie rywale z zagranicy.

W opublikowanej ostatnio klasyfikacji Komisji Turystyki Polskiego Związku Kajakowego podsumowującej cały rok 1988 klub nasz uplasował się na wysokości 14 pozycji na 92 sklasyfikowane kluby z całego kraju (w 1985 r. zajął wyższe, bo 9 miejsce, ale wśród tylko 40 klubów).

Do 1988 r. - dane za rok miniony nie są tu jeszcze uwzględnione - członkowie klubu zdobyli 3 oznaki turystyczne PZK I stopnia "ziółta na wodzie", 3 oznaki II stopnia, tj. złote, 5 oznak srebrnych, 19 brązowych i 5 młodzieżowych.

Nasi najmłodszy

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że członkowie klubu preferują pływani na pograniczu wy-

becnie.

Bo choć Krzysztof Białobłocki nie spod Lwa, a spod Byka się wywodził, zaś wśród klubowiczów nikt chyba nie pretenduje do miana "Jelenia", to jednak osobowość Prezesa wycisnęła na klubie swe niezatarte piętno. I nic dziwnego. Wszak jest on spadkobiercą i nosicielem najpiękniejszych polskich tradycji wodniackich. Jego ojciec, Roman Białobłocki, był współzałożycielem w 1904 r. słynnego klubu wioślarskiego KW-04 w Poznaniu. Piętnastoletni Krzysztof szedł w jego ślady należąc do ośmiu reaktywujących w 1938 r. klub wioślarski przy Gimnazjum Św. Marii Magdaleny w tym samym mieście. Przybywszy do Wrocławia w maju 1945 r. w szeregach pionierów wojewody Stanisława Piskowskiego, od 1947 r. należał do sekcji wioślarskiej AZS, a w latach pięćdziesiątych był wśród pierwszych członków klubu kajakarskiego "Władrus". W późniejszych latach zakładał kluby kajakowe przy wszystkich zakładach pracy, w których przyszło mu pracować. Tak powstało w latach sześćdziesiątych Kolo PTTK nr 224, będące klubem kajakowym przy Burze Projektów Służby Zdrowia, oraz klub kajakowy PTTK "Relaks" przy OBR Przemysłu Maszynowego i Leśnictwa; w 1978 r. klub kajakowy przy "Dolmelu" i wreszcie w 1984 r., a po przej-

NASZ KLUB MA JUŻ PIĘĆ LAT

co się zowie, ponieważ nie dysponowali żadnym pomieszczeniem i ani jedną, choćby najmniejszą pływającą skorupą. Mielłi wprawdzie mnóstwo optymizmu, obiecała dotację Zarząd Oddziału i nowo wybranego prezesa o ogromnym organizacyjnym i wodniackim doświadczeniu oraz - co nie mniej ważne - rozległych kontaktach, ale jeśli zważyć na fakt, że PTTK nie jest bynajmniej finansowym potentatem, a krajowy rynek nie clerpi na nadmiar sprzętu pływającego - sytuacja nie napawała optymizmem.

Budowanie bazy

Pierwsze lata poświęcili członkowie klubu na stworzenie materialnych podstaw umożliwiających funkcjonowanie "Nektosu". Część sprzętu pływającego zakupili za otrzymaną dotację, a część - praktycznie połowę - otrzymali w formie darowizny od instytucji bogatszych i własną pracą stworzyli niemal z niczego, gdyż niektóre remontowane krypy przed rozpoczęciem prac bosmańskich przypominały kajaki tylko z nazwy.

W rezultacie tych działań w chwili obecnej siedemdziesięciu członków klubu dysponuje trzydziestoma kajakami - z których jedna trzecia to wygodne w transporcie składaki - oraz przyczepą służącą do przewożenia jednostek plastikowych.

Od blisko trzech już lat klubowe spotkania odbywają się we własnym, cagle jeszcze zagospodarowywanym lokalu przy ul. Witelona 13; sąsiaduje z nim klubowy warsztat oraz magazyn sprzętu biwakowego i drobnego wyposażenia.

Wspólne pływanie

Choć każdy dorosły członek klubu może nieodpłatnie wypożyczyć sobie w dowolnym terminie będący aktualnie do dyspozycji sprzęt, to oczywiście jest, że o sensie istnienia klubu decydują imprezy organizowane wspólnie, siłami samego "Nektosu" lub wspólnie z innymi klubami i instytucjami. Jest tych spływów dość sporo, bo średnio 10-15 rocznie.

Do najciekawszych imprez organizowanych przez klub należałoby zaliczyć Ogólnopolski Spływ Kajakowy Granicą Przyjaźni na odcinku Wrocław-Szczecin (490 km). Niestety, zainaugurowana w 1985 r. impreza umarła po dwóch latach zmroźona zimnym stosunkiem władz NRD (już w pierwszym roku Niemcy nie wyraziłi zgody na wspólne biwakowanie na zachodnim brzegu Odry w jej dolnym biegu, a w drugim roku nie stanął na starcie żaden reprezentant naszych zachodnich sąsiadów). W zmieniającej się obecnie za Odry sytuacji politycznej zarząd klubu widzi szansę na reaktywowanie tego interesującego spływu.

Inną imprezą o zasięgu ogólnopolskim był wspólnie organizowany przez "Nektos-5", a ostatnio zaniechany, wrześniowy spływ "Dookoła Wrocławia". Imprezę tę po raz pierwszy zorganizował kajakowy klub przy zakładach "Dolmel" w 1982 r., gdy jego prezesem był aktualny prezes "Nektosa".

Pełny roczny kalendarz imprez, w których uczestniczą członkowie klubu, jest bardzo urozmaicony: wodniacki sezon rozpoczyna się w "Nektosie" już w lutym, startem w tradycyjnym Ogólnopolskim Zimowym Spływie Energetyków Bredą. Następnie regularnie już klub reprezentowany jest na międzynarodowych imprezach na Bobrze (maj), Dunaju (czerwiec) i Dunaju (lipiec), by wreszcie zejść z wody w końcu listopada - po Spływie Przyjaźni zimą Sprewą w okolicach Berlina.

Permanentne uczestnictwo w tym ostatnim, podobnie jak i w marcowym spływie Dahmą (na za-

czynu i uznają tylko szlaki trudne lub pokonywane w niełatwych warunkach. Jak już wspomnieliśmy, specyficzny skład zespołu członków-założycieli zawołał również specyficznym charakterem "Nektosa". Jest to mianowicie klub preferujący przede wszystkim czynny wypoczynek na wodzie całych rodzin, włącznie z najmłodszym "drobiazgiem". Znalazło to swoje wyraźne odbicie w regulaminie klubu, który otwarcie faworyzuje tę "podstawową komórkę społeczną". Jąką jest rodzina, zapewniając jej m.in. "bezwzględne pierwszeństwo w zapisach na imprezy organizowane przez klub w wypadku zgłoszenia uczestnictwa całej rodziny", a także na różne innesposoby przyciągając tych najmłodszych, na przykład przyznając im równorzędne prawo głosu na zebraniach.

W rezultacie liczący dzisiaj 70 członków klub skupia, obok 45 osób dorosłych, także dwunastu studentów, ośmiu uczniów i pięcioro dzieci w wieku przedszkolnym, a w kalendarzu klubowych imprez są również krótkie, nie wymagające dużego wysiłku wypadki na podwrocławskie rzeki: Smortawę, Barycz, Władawę, Otawę, czy rejs Odry na tzw. Bajkał i z powrotem lub Kółko Konwaliowe w okolicach Boszowa.

O tym, że wspomniane członkowstwo tych najmłodszych "krasnali" nie jest tylko statystyczną fikcją - świadczy najlepiej fakt, że ci właśnie członkowie klubu już trzykrotnie (!) zdobywali puchar dla najmłodszego uczestnika dorocznego międzynarodowego spływu Bobrem (a kolejny klubowy pretendent do tego trofeum w sezonie 1990 właśnie wyrasta z pieluch). Poza tym w annałach "Nektosa" odnotowane są takie osiągnięcia, jak samodzielne przepłynięcie przez dwóch jedenastoletków 15-kilometrowego odcinka Władawy czy analogicznej długości trasy Bajkał-Most Szczytnicki przez dwunastoletka.

Król Filip miał rację

Rodzina atmosfera panująca na klubowych imprezach i widoczna troska o dobre samopoczucie najmłodszych daje godną uwagi uboczne. Oto na 22 członków-założycieli aż 21 należy do klubu do tej pory, na obowoziskach "Nektosu" nie słychać pijańskich śpiewów (co, przynajmniej samokrytycznie, jest wśród wodniaków raczej wyjątkiem niż regułą), a aż 28 aktualnych członków klubu mieszka daleko od Wrocławia, w odległych nieraz województwach, jak na przykład opolskim, warszawskim czy piłskim. Widać wspólne przeżycia - czy to przy pracach bosmańskich, czy na szlaku, czy w końcu podczas zamykającego sezon tradycyjnego październikowego "pieczenia barana" - skutecznie niwelują dezintegrujący wpływ dzielących ich odległości; choć gwoł prawdy trzeba wspomnieć, że zdaniem części członków o krótszym stażu zarząd zbyt często preferuje członków-założycieli.

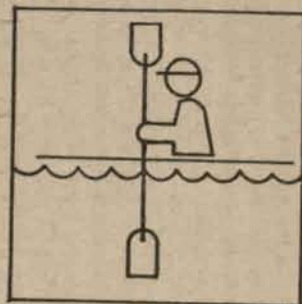
Trudno stwierdzić, czy powtórnie wybranie do władz klubu jest miernikiem dobrej roboty desygnowanego kolegi, czy też świadczy o pewnym organizacyjnym skostnieniu (trzech członków obecnego zarządu pełni swe funkcje już trzecią kadencję, nieprzerwanie od dnia ukonstytuowania się klubu).

Natomiast sprawą nie podlegającą dyskusji jest podzielanie chyba przez wszystkich członków klubu przeświadczenie, iż niewątpliwie miał rację twórca macedońskiej potęgi, mądry król Filip II, gdy uczył swego syna, słynnego Aleksandra, że "lepsza jest armia jeleni pod wodzą lwa, niż armia lwów pod wodzą jelenia": bez swego pierwszego i do tej pory jedynego prezesa klub nie byłby tym, czym jest o-

ściu Prezesa na emeryturę - nasz "Nektos-5". Syn Prezesa, od małego z nim pływający, Marek, należał do współzałożycieli wspomnianego już akademickiego klubu "Nektos" przy Akademii Rolniczej. Obecnie najwięcej radości sprawia panu Krzysztofowi pływanie z wnukami - czwartym już pokoleniem będącym za pan brat z wodą. I to właśnie jest najcenniejsza, najbardziej godna upowszechnienia tradycja.

Tak trzymać!

Krzysztof Uściński



"Grodziec 90"

Już po raz drugi odbył się rajd rowerowy "Grodziec" na trasie Zagrodno-Jadwisin-Osetnica-Chojnow-Wojciechów-Zagrodno (38 km). W imprezie wzięli udział uczniowie szkoły podstawowej w Zagrodnie i mieszkańcy Złotoryi. Organizatorami Rajdu byli: Rada Wojewódzka LZS w Legnicy, Komitet Rodzicielski wraz z dyrekcją Szkoły Podst. w Zagrodnie oraz Zarząd Oddziału PTTK w Złotoryi. Uczestnicy Rajdu podczas pobytu w Chojnowie odwiedzili muzeum regionalne i zwiedzili zabytki kultury sakralnej. Wieczorem o dziejach zamku w Grodźcu pięknie i sugestywnie opowiadał Piotr Kasprzyk - nauczyciel historii i przewodnik PTTK. Wyświetlono też dwa krótkie filmy o zamkach śląskich. Wszyscy uczestnicy Rajdu otrzymali drobne upominki ufundowane przez Radę Wojewódzka LZS w Legnicy i Zarząd Oddziału PTTK w Złotoryi. Podczas imprezy też "sfotografowano" całą grupę rowerową i moment wręczenia dyplomu dla dyrekcji szkoły w Zagrodnie za masowy udział młodzieży w imprezach turystycznych. Tak dobrze zorganizowanych wycieczek powinny organizacje społeczne i dyrekcje szkół organizować więcej. Imprezy w tym stylu są bardzo wychowawcze oraz mają duże walory historyczne i krajoznawczo-turystyczne.

Ryszard Jaźwiński



GLOBTROTTER

- POD REDAKCJĄ LESZKA SAWICKIEGO

PLANOWANIE PODRÓŻY - ciąg dalszy

5. Dokąd i po co?

Przed kilku laty runęły ostatnie mury ustrojowo-administracyjnych ograniczeń w podróżowaniu rodaków po świecie, a prywatny paszport, trzymamy we własnej szufladzie, stał się gwarantem rzeczywistej swobody globtroterskiego wędrowania. Zostaje tylko rozstrzygnięcie pytania: dokąd i po co? (no i oczywiście "za ile?", czyli "skąd ja na to wezmę pieniądze?").

Planując wyprawę powinniśmy zabrać o to, aby była ona różnorodną pod względem treści. Więc oczywiście: egzotyka. Najciekawsze przyrodnicze zabytki, jakie do trasy można wstawić. Folklor: ludzie, kultura, obyczaje; zbadać, czy w czasie naszego pobytu przypadają jakieś ludowe festiwale - karnawał, Nowy Rok, święta obrzędowe? Zabytki historyczne i muzea (lecz tylko te najświetniejsze). Góry: przynajmniej jeden odcinek trasy niech wiodzie górską drogą. I - oczywiście - relaks, już pod koniec wyprawy. Parę dni nad morzem, choćby po to, aby napisać kartki do znajomych. Ale - dokąd jedziemy?

Właściwie to cały świat stoi przed nami otworem. Możemy zaplanować podróż do tropikalnej Afryki (znajoma grupa zajmowała się tam wędkarstwem nad rzeką Kongo), na Indonezyjskie wulkany (parę lat temu na kraterze wulkanu Bromo obchodziliśmy swoje urodziny), na peruwiańskie alpiplano (nieco ciężko tam się oddycha, ale cóż za widoki!), a mój przyjaciel, Kazio Buchman, relacjonował niedawno o turystycznej wyprawie na Spitzbergen, której uczestnicy kielbasę musieli rąbać siekierą, tak krzepko zamarzła. Brać, wybierać...

Możemy więc planować wyprawę do dowolnego kraju. Oczywiście, w tym wachlarzu możliwości będzie parę wyjątków: tutaj toczy się wojna z sąsiadem o pograniczną prowincję, więc nie warto nadstawiać głowy, tam są czasy terroryści lub bandy narkotykowe, ówdzie cholera czy dżuma powoduje zamknięcie granic. O wszystkim możemy się dowiedzieć ze starannego studiowania prasy czy biuletynów PAP-u, ewentualnie z wywiadu w danej ambasadzie. Ale za to wszystkie pozostałe kraje zapraszają nas do siebie, w złudnej nadziei, że zostawimy u nich parę setek dolarów... Te złudne nadzieje są zazwyczaj popierane kolorowymi folderami, jakie możemy otrzymać w sekretariacie egzotycznej ambasady czy obejrzeć w agencjach biur podróży (oczywiście nie krajowych - te zawsze świeciły pustymi półkami).

Niektóre kraje, z racji ustrojowych czy innych irracjonalnych przyczyn, bronią się przed napływem turystów. "Socialistyczna" Birma do niedawna udzielała wiz turystycznym tylko na siedem dni, bez możliwości przedłużenia pobytu; ósmego dnia wyjeżdżało się albo szło do kryminalu. Laos był praktycznie niedostępny, Bhutan żądał horrendalnych kwot za każdy dzień pobytu. Wiza paszportowa od Izraela, wbita do naszego paszportu, uniemożliwiła nam później wjazd do wielu krajów arabskich...

Po takiej wstępnej selekcji wybieramy w końcu kraj, który odpowiada naszym marzeniom, który jest dostępny ze względów politycznych i komunikacyjnych i który leży w naszych możliwościach finansowych. Teraz zaczynamy zbierać dokumentację informacyjną o wybranym kraju: przewodniki, mapy, foldery, publikacje.

6. Przewodniki, mapy, foldery i to, co się powinno wiedzieć

Przewodniki. Onegdaj kluczem otwierającym drogę do poznania każdego kraju był przewodnik jednego z renomowanych wydawnictw turystycznych: niemieckiego Baedekera (szacowne "baedekery"), Grieblena itp. Dzisiaj panują generalnie przewodniki angielskojęzyczne, wydawane w USA, Anglii czy Australii. Polski rynek przewodnikowy jest, niestety, bardzo skromny; odbija się tu nasze wieloletnie zamknięcie paszportowe.

Już na samym początku naszego planowania musimy się jednak nastawić na wydatek, i to walutowy. Renomowane, dobre przewodniki można kupić tylko za granicą; w Polsce są one rzadkością.

Zazwyczaj podstawą dla planowania globtroterskich wypraw są przewodniki z serii "TRAVEL SUR-

VIVAL KIT", wydawane w Australii przez LONELY PLANET PUBLICATIONS, a dostępne wszędzie w księgarniach na Zachodzie. Adres wydawnictwa Lonely Planet (gdymy ktoś tam chciał zaglądnąć) brzmi: PO Box 88, South Yarra, Victoria 3141, Australia. Przewodniki są opracowywane nadzwyczaj rzetelnie, treść jest ilustrowana planami i mapkami, a całość serii została stworzona właśnie dla "budget travellers", czyli dla oszczędnych obywateli. W ich treści zawsze znajdują się typowe rozdziały: jak tam się dostać, co zwiedzać, gdzie jeść, gdzie zamieszkiwać - od "dennych" ("bottom end") hotelików do "top end", czyli kilkunastokrotnych; czego unikać i co zakupić. Idealne. Ceny przewodników (przykładowo) wynoszą: PAKISTAN (objętościowo skromny) za 6,95 US\$, INDIE (obszerny, 792 strony!) za 14,95 \$. Ale ten wydatek na pewno nam się opłaci!

Tutaj mała praktyczna uwaga. W wielu egzotycznych krajach można kupić używane przewodniki w antykwariatach, za pół ceny lub taniej; zazwyczaj oddają je do sprzedaży turyści na końcu swej podróży, po zwiedzeniu kraju, nie chcąc obciążać książką swego samolotowego limitu bagażowego. Warto poszperać.

Amerykańskie wydawnictwo FODOR'S TRAVEL GUIDES publikuje również rzetelne przewodniki. Są one nastawione jednak na średnio zamożnego turystę, turystę amerykańskiego oczywiście. Stąd też można tu np. znaleźć następujące zestawienia kosztów: "Jeden typowy dzień w Bollwill. Hotel - 45 \$, trzy posiłki - 40 \$, bilet do teatru - 2,5 \$, prania - 4 \$... itd., itd, razem za dobę - 124 US\$". Dziękuję, poczekam. Cenia przewodnika SOUTH AMERICA wynosi 14,95 \$.

Najłatwiej dostępne w Polsce są przewodniki zachodniemieckiego wydawnictwa POLYGLOTT. Szczupłe książeczki o stronkach nabitych drobnym dwuspalowym drukiem, z licznymi rysunkami i planikami, dostarczają informacji zwłęczym i zarazem rzetelnym. Są znakomitym źródłem wiadomości z zakresu historii i kultury materialnej, mniej jednak w nich porad i wskazówek dla typowych trampingowców. Koszt przewodników niski, rzędu 3-4 DM. POLYGLOTT wydaje również "Duże Przewodniki" ("Grosse Reiseführer") dla niektórych krajów i metropolii, w cenie 9,80 DM, oraz przewodniki językowe (1,80 DM).

Istnieje wiele innych wydawnictw, publikujących serie przewodników, na najrozsłabszym poziomie, np. angielskie JENKINS'a, F.E.E.Review, francuskie "Zielone Przewodniki Michellina" i in. Są wśród nich również prymitywne drukowane przewodniki dla trampingowców o najniższych wymaganiach bytowych i finansowych, czasem wręcz bezpośrednio informujące o przemyśle, czarnym rynku i rozrywkach seksualnych (np. niemieckie S.Lo-osego). Szukaj, a znajdziesz.

Tu mała dygresja. Otóż istnieją też przewodni-

ki, mogące wywołać przerażenie w oczach prawdziwego globtrotera. Przed paru laty, płynąc promem z Pireusu na Kretę, dostrzegłem w rękach francuskich studentów przewodnik noszący tytuł "GRECJA W CZTERY DNI" (!). Przypomniał mi się tytuł zabawnej komedii francuskiej: "Jeśli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii". To już nie jest turystyka, nie dajmy się zwariować. Na tego rodzaju zwiedzanie szkoda czasu i atleasu.

Nieliczne polskie przewodniki, drukowane w ostatnich latach uproszczoną techniką i o małych nakładach, dotyczą głównie krajów azjatyckich. Bardzo rzetelne i aktualne informacje zawierają dwa przewodniki opracowane przez A.Urbanika: "Przewodnik trampingowy - Birma, Tajlandia, Malezja, Singapur, Indonezja" (wyd. MAW, 1987) oraz "Chiny - informator trampingowy" (wyd. Oddział Uniwersytecki PTTK, Warszawa, 1988). Spośród innych można tu wymienić "Wędrowniki po Nepalu - przewodnik trekkingowy" (autorzy: D. Brzezinska, J. Kamler, Oddz. Śródmieście PTTK Warszawa, 1985) oraz "Przewodnik - Radzastan" (J.Krytow i in., Oddz. Śródmieście PTTK, Warszawa, 1988). Wiele oddziałów PTTK wydawało różne pomniejsze przewodniki, zazwyczaj na zasadzie całkowitego "samizdatu". Nie mam, niestety, ich ewidencji. Stały punkt sprzedaży różnych polskich nowości to księgarnia - "salon" Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie przy ul. Wilczej. Jego odpowiednikiem we Wrocławiu jest kiosk w kamieniczce PTTKa w Rynku (Rynek-Ratusz 11).

Warto czasem zaglądnąć do księgarni radzieckiej, gdyż w ZSRR są również wydawane przewodniki turystyczne, np. dla egzotycznych w naszym pojęciu republik środkowoazjatyckich. Niedawno nabyłem tam przewodnik po Tadżykistanie (F.G.Patrunowa, wyd. "Profizdat", 1987). Uważam, że Kirgizja, Tadżykistan i Kazachstan to kraje dla turystyki przyszłościowe. Ten przewodnik kiedyś zapewne będzie i dla nas potrzebny.

Zbierając materiały informacyjne trzeba pamiętać, że miesiącnik IMT ŚWIATOWID (oby wychodził nadal!) od 1966 roku prowadził stały dział "Vademecum globtrotera", w którym podawano turystyczne wiadomości dotyczące coraz to innego kraju, z aktualnymi adresami, cenami, połączeniami komunikacyjnymi itd., taki "mini-przewodniczek". Aktualności globtroterskie są też publikowane w Informatorze trampingowym - periodyku "GLOBTROTTER", przez Instytut Turystyki w Warszawie.

Kto zaś chce zaopatrzyć swoją turystyczną biblioteczkę oficjalnie niż na najbliższy wyjazd, temu polecam udanie się na coroczne Międzynarodowe Targi Turystyczne (ITB - Internationale Tourismus Borse), które odbywają się w Berlinie Zachodnim. Przewodniki, informatory, foldery z całego świata.

Dcn.

Leszek Sawicki



Górskie wioski

Na wysokim brzegu ukazał się mały przysiółek złożony z kilku chat na palach. Tam też przybliżyliśmy, aby zrobić obiad i odpocząć przed dalszą drogą. Da zamordował kurę i zabrał się do gotowania ryżu, my tymczasem rozeszliśmy się po wiosce.

Znalazłam się wśród domów na palach, tak powszechnych dla całego Półwyspu Indochińskiego. Wioska liczyła nie więcej niż dziesięć chałup. Większość mieszkańców widocznie pracowała w polu, było prawie pusto. Na miejscu pozostały tylko dzieci i jedna starsza kobieta. Nosiła podniszczony czarny kaftanik i spódnicę tegoż koloru, a na głowie czerwony zawój z frędzelkami. A więc byliśmy w wiosce wietnamskich górali z plemienia Czerwonych Manów. Kobieta o pomarszczonej brunatno-żółtej twarzy pykała fajkę i uśmiechała się do nas, ukazując poczerwione zęby. Wokół niej oraz za słupami chat kryły się trochę przestraszone małe dzieci. Były nagie, miały krótko przystrzyżone włosy, szyk ich zdobiły naszyjniki z pieniążków.

Wśród chat jedna zwracała uwagę tym, że stała wprost na ziemi. Okazało się, że była to szkoła. W środku znajdowało się kilka ławek z bambusów, wbitych wprost w gliniane klepisko. Przy wejściu, na przedniej ścianie wisiła na sznurach tablica z grubo ociosanej deski. Na drzwiach umocowany był duży bęben z bawolej skóry - zapewne zamiast dzwonka. Szkoła pusta. Wszyscy zapewne pracują; uczą się, gdy mają czas.

Powszechne tutaj bawole też pracowały w polu. Pozostał tylko drobniejszy inwentarz, który pętał się pod nogami: świnie, prawie czarne, o szpiczastym ryżu, kury wielkości naszych wron oraz smutne i brudne psy.

Gdy w cieniu szkoły odpoczywaliśmy czekając na posiłek, Cian zrobił nam wykład na temat różnorodności narodowej Wietnamu. Istna mozaika. Otóż oprócz Czerwonych Manów żyją tu również górale Mee, niżej w dolinie Ngoi Niu - Thajowie, na nizinach i w delcie Rzeki Czerwonej - ludność narodowości Tho, Mougowie, Mol i inni. Główną jednak narodowością są rdzenni Wietnamczycy, czyli Kinh. Ich język jest obecnie obowiązujący na terenie całego kraju i powszechnie wprowadza się go wśród całej ludności.

Da zawołał nas na obiad. Obiad - to dużo powiedziane. Robiąc dobre miny z trudem zjedliśmy niedogotowany ryż z twardą kurą. Ratowała nas gorąca herbata.

Tratwy zostawiliśmy mieszkańcom wioski, sami zaś poszliśmy leśną ścieżką pod górę dość szybko, aby jeszcze zdążyć przed nocą do Lang Vinh.

- Uprzedzam cię, że baza, do której idziemy, jest jeszcze bardziej prymitywna, niż w Bao-Ha! - przestrzegal mąż.

- Wspaniale! - odparłam.

Droga nie była zbyt uciążliwa. Prowadziła wśród pól lub rzadkich lasów. Do wioski zbliżyliśmy się późnym popołudniem, mijając zbocze, na którym właśnie odbywały się prace porządkowe po dopiero co wygasłym pożarze lasu. Z dawnej dżungli sterczały tylko tu i ówdzie niedopalone pnie większych drzew. Drobniejsze krzewy właśnie usuwano. Pracowały przy tym głównie kobiety i starsze dzieci. Po raz pierwszy oglądałam gospodarke żarową, polegającą na uzyskiwaniu nowych ziem pod uprawę przez wypalanie lasu. Uderzył mnie niezwykły koloryt całej sceny. Dominowała czerń i różne odcienie szarości. Nawet czarni The, żyjący w tym rejonie, nosili ciemnognatowe ubrania i zawoje na

ZAPACH MONSUNU

MARIA SAWICKA

głowach. Również oczy kobiet wyglądały jak skośnie osadzone czarne węgielki. Do tego wszystkiego błyskały w uśmiechu poczerwione zęby.

Zbocze pokrywał ciemnoszary popiół, który jeszcze dymił. W pełzających i słych zwojach dymu często wybuchał dziewczęcy śmiech - dziwnie rozbrzmiewający na tych zgłiszczach. Tylko czarne olbrzymy wznosząc w niebo niedopalone konary jakby protestowały przeciwko niezrozumiałej wesołości.

- Niesamowicie! Widziałeś tyle czerni na raz, z zębami włącznie?

- Widziałem. Rób zdjęcia, póki jeszcze jasno!

- Dlaczego kobiety mają czarne zęby?

- Tak! tu obyczaj, zwłaszcza u plemion górskich. Młodym dziewczętom, mniej więcej w wieku dziesięciu lat, zdiera się szkliwo z zębów, a następnie od razu czerni smołą uzyskaną z palącego się bambusa. Wtedy dopiero dziewczynę uważa się za dorosłą i może rozglądać się za mężem.

jedno krzesło. Ot i wszystko.

Da rozpalil ognisko z bambusów i zabrał się do przyrządzania kolacji, a my w oczekiwaniu na nią usiedliśmy na progu domu. Pasma górskie otaczające kotlinę, a będące odgałęzieniami głównego masywu Phang Si Pang, jeszcze były widoczne. Ale na krótko. Szybko, na naszych oczach wchłonęła je noc. Leżące w dole pola ryżowe pokryła nisko snująca się mgła. Wioska wyglądała jak żarzący się ławcuszek. Na niebie zaczęły wschodzić gwiazdy - Wielki Wóz leżał nisko nad horyzontem.

Jak daleko jestem od domu...

Ponad wieczorną ciszę od strony rzeki zaczęło roznosić się osobliwe granie. Było to coś jak skrzywienie lub terkotanie, powtarzające się raz cienie, raz grubiej, mniej lub bardziej przeciągając, zakończone mocnym stuknięciem. Trr-tirr-tirr-tum...

- Co to jest? - pytam.



Fot. L. Sawicka

Pytam Ciana, który był żonaty, czy jego żona ma też poczerwione zęby.

- O nie, w stolicy i dużych miastach już się tego nie robi; pomimo to starsze pokolenie uważa takie zęby za ładne i bardzo trwałe.

W pobliżu wioski wygodne dotąd drogi zamieniły się dość nagle w "bawole ścieżki". Nowość! Liczne bawole, wracając do domu z pól lub nad rzeki, udeptowały gliniastą i mokną drogę na miarę swoich nóg i ciężaru. Skutkiem tego droga była pełna garbów i dołków, trochę zbyt odległych dla normalnego ludzkiego kroku. Poza tym było mokro i ślisko. Miało się dwie możliwości: albo skakać z jednego garbu na drugi, albo iść schodkowo, górka-dolek, górka-dolek. Było to dość uciążliwe.

Zbliżał się wieczór. Ludzie wracali z pól, pleszo lub jadąc wierzchem na bawolach. W niektórych domkach zapalono już kaganki. Ażurowe chatki oświetlone od wewnątrz wyglądały jak lampiony.

Baza znajdowała się na stoku, nieco w górę od wioski. Szybko doszliśmy na miejsce. Był to duży dwuczęściowy dom. Pierwszą część stanowiło pomieszczenie dla Wietnamczyków, w którym znajdowało się palenisko i wisząca nad nim półka. Pod ścianą stały prymitywne naczynia oraz zwinięte w rulon maty. W drugiej części, przeznaczonej dla nas, stały tylko dwa łóżka z moskitierami, stół i

- Stęporę, młyny wodne do mielenia ryżu. Jutro pójdziemy je obejrzeć. Rzeczywiście osobiwa nocna muzyka. A żeby słyszysz?

- To głośnie bekanie?

- Właśnie. To są bawole ropuchy.

Znow tylko nocnych wrażeń w ciągu jednego tylko dnia. Długo kręciłam się pod moskitierą, nie mogąc zasnąć. Z sąsiedniej izby dochodziły przyciszone głosy Wietnamczyków i trzaski palącego się bambusa. Tuż koło głowy, spoza moskitiery, słyszę denerwujące cieniutkie bzyczenie komarów. Wszystkie głosy po jakimś czasie nakładają się wzajemnie na siebie, coraz bardziej gęstnieją, w końcu usypiam.

Następnego dnia obudziliśmy się wcześnie rano.

- Co dziś robimy? - pytam przy śniadaniu.

- Normalnie, idziemy w teren.

Niezastąpiony Cian już czeka przy drzwiach. Dopiero dziś w pełnym świetle dnia widzę, że Lang Vinh leży dosłownie na rudzie żelaza. Ziemia dookoła jest rdzawoczerwona. Jak pięknie z czerwioną glebą kontrastują zielone góry!

Schodząc w dół wiem, że każdy krok będzie znów dla mnie nowym przeżyciem i radością.

Maria Sawicka

GÓRY i ALPINIZM

PISMO KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO WE WROCŁAWU

W języku alpinistów "drettissima" oznacza drogę, która przebiega przez urwisko niemal dokładnie po linii prostej, bez zygzaków i trawersów. W dążeniu do ideału, z czasem prostowano już istniejące drogi bądź prowadzono inne, jeszcze bardziej prostolinowe, czyli "superdrettissimy". Tatrzkańska Kazałnica ma w swoim zestawie obiekty takie tury. Pierwsze starcie z Superdretą (tak mawialiśmy) miałem w 1973 r. Wspólnie z Piotrem Garbaczewskim dokonaliśmy wtedy trzeciego przejścia, a mnie udało się "odhaczyć", czyli przejść klasycznie znaczny fragment dolnego odcinka przechodzonego dotychczas za pomocą sztucznych ułatwień. Dobrze mogło to świadczyć o początkującym taterniku. Wprawdzie biwakowaliśmy w górnych partiach ściany, ale takie było ówczesne nastawienie w stosunku do wielkich dróg - jeszcze brakowało nam dość wiary, że zdążymy, a ciągnięty przez

two więc sobie wyobrazić, jak wolno płyną godziny delikwentowi w nich uwięzionemu przez noc. Ostatniego dnia o świcie spakowaliśmy wszystko, co było już zbędne, do jednego worka, związali liną jak baleron i rzucili w dół przez całą ścianę, by nie dźwigać tego przez wierzchołek do schroniska. Od tej chwili musieliśmy zdążyć skończyć drogę, a ewentualna pomyłka kosztowałaby nas ciężki biwak "bez niczego". Wór przefrunął w powietrzu spory kawał, z głuchym łomotem odbił się dwa razy od skał, siejąc przy tym swą zawartością obficie, jakby za sprawą świętego Mikołaja. Potworne sity rozzerwały solidny materiał i wszystko tylko co większe trzymało się kupy dzięki linie "baleronowej". Wyobraziłem sobie wtedy, jak wygląda spadający człowiek i łatwo zrozumiałem, iż w takich sytuacjach cudownych ocalań nie ma. Przykład był aż



w 1980 r. wspólnie uczestniczyliśmy w zimowej wyprawie na Everest. Pamiętam, jak wiosną '81 spotkaliśmy się na politechnice i Maniś stwierdził, że trzeba brać nogi za pas, gdyż plotki mówią o możliwości wprowadzenia staru wyjątkowego (!), w plotkach zawsze tkwi ziarno prawdy i w ogóle nie wiadomo, co będzie. O paszporty było już wtedy dość łatwo. Niewiele potem Marian wyjechał do Wiednia i po kilku miesiącach starał

SUPERDIRETTISSIMA KAZALNICY

urwisko sprzęt biwakowy skutecznie spowalniał wspinaczkę.

Pokonanie tej drogi zimą było rzeczywiście poważnym przedsięwzięciem. Przejście klasycznie kluczowych trudności (gładkich i litych płyt granitowych) nie było w tych warunkach możliwe, natomiast "przechaczenie" ich następczo nie lada problemów. Jeszcze we Wrocławiu zdołałem pozyskać doskonałego partnera, Mariana Piekutowskiego, i razem pojechaliśmy w marcu 1974 r. do Moka, specjalnie na Superdrettissimę. Szczęście dopisało nam, gdyż pogoda była nienajgorsza, a konkurencji akurat zdążyli się zniechęcić do drogi po jakimś tam ataku. Cały jeden dzień spędziliśmy na "poręczowaniu", czyli ubezpieczeniu linami dolnych partii ściany, co często czyni się (zwłaszcza w zimie), by nie biwakować kilkadziesiąt metrów nad ziemią. W tamtych latach trudne drogi poręczowano nagminnie - taki był styl. Dziś wprawdzie nadal można tak robić, ale nie jest to elegancko. Gdy ma się już powieszoną w ścianie linę, można "uderzyć na ciężko", tzn. z całym sprzętem, żarciem, spaniem i gotowaniem, obliczonym na kilka dni. W sumie daje to ładunek kilkudziesięciokilogramowy, z którym trzeba ciągnąć się przez całą ścianę (tu: 550 m). W efekcie wspinaczka traci resztki swego uroku, gdyż po przebyciu każdej długości liny, trzeba przeciągnąć dwa wredne wory, jak na złość klinujące się, gdzie to jest tylko możliwe, i zahaczające o wszystko po drodze. Zajęcie takie przyrównać można jedynie tylko do buractwa, ale odbywającego się w zupełnie pionowej lub nawet przewieszanej ścianie. Przejście całego urwiska ściany zajęło nam 4 dni. Pierwszy z trzech biwaków spędziliśmy wisząc w "ławeczkach" wpiętych do haków, ze śpiworami częściowo tylko ledwie naciągniętymi na siebie. Szczelki ławeczek miały nie więcej niż 5 cm szerokości, la-



Sukiennice : Janusz Krajewski wspiera się na drodze "Roch Arena"
foto : Jacek Jaśko / 6,3 t./

nado spektakularny. Drogi skończyliśmy, graty spod ściany zostały z trudem zebrane i ponownie spakowane. Powrót do nieodległego przecież schroniska jest zawsze najbardziej męczący, a kilkudziesięciometrowe podejście na morenę, gdzie stoi budynek, przypomina Golgotę i wyciska ostatnie krople potu. Nie ma już motywacji, sukces i bliskość domu rozprężają, wyłażą z człowieka trudy ostatnich dni.

Marian był z wykształcenia specjalistą od optymalizowania systemów energetycznych, pracował w IASE i nieco później zrobił doktorat. Jeszcze

zdołał "załapać się" na Australię. Młody, z angielskim, bez rodziny i zobowiązań, wykształcony, był mile widziany na antypodach. Jego dyplom doktorski osobiście zaszywałem mu w plecak. Stosunkowo szybko podjął pracę w swoim zawodzie i dziś, już z rodziną, mieszka na Tasmanii. W Polsce zostawił wszystko, czyli niewiele, tam w krótkim czasie, ale ciężką pracą, stanął na nogi. Jego los jest typowym losem wielu tysięcy młodych polskich "jajogłowych", którzy z powodzeniem urządzili się w świecie, bo wiedzieli, iż są więcej warci, niż zapłata, jaką oferował im System narodził się panujący w PRL. Smutne to, ale i zrozumiałe, i niech nikt nie wyjeżdża mi tu z "darmowym, a kosztownym nauczaniem" itp. dyżurnymi argumentami. W takim momencie zawsze przypomina mi się dowcip o owśnikach, spacerujących po łące:

- Tatusiu! Popatrz jak tu pięknie wokół, kwiaty pachną, ptaki śpiewają i świeci słońce. To dlaczego my mieszkamy w dupie?

- Bo to jest nasza ojczyzna, synu!

Aleksander Lwów



Z inicjatywy Stanisława Anioła i Janusza Fereńskiego, którzy jednocześnie wzięli na siebie trud przygotowania przedsięwzięcia, w dniach 1-3 czerwca br. doszło do spotkania byłych uczestników wrocławskich wypraw wysokogórskich. "Ekspedycja" ta założyła base camp w pobliżu szafasu "Mufion" w Komarnie k. Jeleniej Góry, na terenie Specjalistycznego Gospodarstwa Owczarskiego należącego do pana Andrzeja Krawicza. Uczestnicy "wyprawy" zamieszkiwali w namiotach i odżywiali się wyłącznie specjalistycznym jadłem alpinistycznym, np. szaszłykami baraniami, pieczonym jagnięciem, kiełbaskami pieczonymi na ogniu, koniakiem, piwem i czystą wódką. Spośród ok. 50 naliczonych

NIEZWYCZAJNA EKSPEDYCJA

"byłych uczestników", do Komarna przybyło 17 osób, troje gości przypadkowych lecz zaproszonych oraz jedna małżonka. Pomijając wymienionych wyżej, byli to: Roman Bebak, Jacek Barancowicz, Tadeusz Barbacki, Andrzej Chruściel, Kazimierz Głazek, Zdzisław "Dziki" Jakubowski, Jan Juszkiewicz, Aleksander Lwów, Wiesław Panejko, Kazimierz Pichlak, Kazimierz Piotrowski, Marian Sajnog, Józef Stepien, Krzysztof Wielicki i Edward Zaczęński. Pozostałe osoby, to: Andrzej Słodow-



ski z żoną, Czesław Ładogórski i Felcja Lwów. Wśród pozakulinarnych atrakcji spotkania wymienić należy możliwość odbycia 10-minutowego lotu samolotem "Wilga" startującym z pobliskiej łąki, wypad w skałki Janowickie, niedzielne skoki na parapencie z Dzikowca k. Wałbrzycha i różną non stop muzykę nafarską z taśmy. Warto jeszcze wspomnieć o wspaniałej nafa-flsh-soup (z karpią) oraz dyskusji nt. "Prawda a alpinizm", dotyczącej jednej z dawnych wypraw, a zakończonej szlachetną szermierką na pięci pomiędzy głównymi adwersarzami. Na podkreślenie zasługuje fakt, że "wyprawa" nie korzystała z pomocy sponsorów i wszyscy uczestnicy brali w niej udział na własny koszt. O tym, czy była to udana impreza, niech świadczą informacje, iż w najbliższej przyszłości zaplanowano kolejne spotkanie, tym razem w gronie jeszcze szerszym, co opatrzone kryptonimem - "ekspedycja atakuje camp 1".

Aleksander Lwów

Kącik językowy

raki - zmyślna, a proste urządzenie podpinane do butów. Zwiększa powierzchnię podszwy i jej przyczepność, ułatwiając chodzenie po śniegu, oblodzonych zboczach itp., co niewystarczająco wyjaśnia eufemistyczne powiedzenie "pokazać komuś gdzie zimują raki". Tak samo po wrzuceniu do wrzątku raki niekoniecznie zabarwiają się na czerwono. Informację radźmy przyjąć na wiarę. Eksperymenty w tej branży często nie poplają.

byłe do wiosny! - ulubione przez chłopów pańszczyźnianych, wyrobników i białych murzynów porzekadło, traktowane z przynurzeniem oka również przez karbowych. Wyraża stosunek nie tylko do pracy. W pierwszych miesiącach stanu wojennego pojawiły się na murach i w ulotkach hasła "zima - wasza, wiosna nasza!". Co z latem - okazało się dopiero w 1989 r. Używane przez alpinistów, którzy utknęli w szczelnie śnieżnej.

utrzymanka - wspomnienie lepszej przeszłości, gdy mężczyzna mógł zarobić nie tylko na żonę i dzieci, ale kogoś jeszcze. Na ogół wymagającego. Obecnie - uchwyt do menażki itp. turystycznych pojemników ognioodpornych, pozwalający na zdłżenie z kuchenki bez poparzenia. Również przechodzi do przeszłości, wraz z rozwojem tzw. turystyki zbiorowej i (za przeproszeniem) gastronomii.

alpinizm - choroba objawiająca się drapaniem. Zараźliwa, nieuleczalna, kosztowna i często śmiertelna. W naszej sytuacji geopolityczno-gospodarczej zdecydowanie dominuje atrybut finansowy, co stało się pożywką dla rozwoju "chodzenia w skałki". Dolegliwość częściej przemijająca z wiekiem, nie bez związku z rozwojem motoryzacji, Zob. "komin".

komin - potocznie wygórowane wynagrodzenie (zdaniem niżej płatnych). W architekturze: specjalna konstrukcja, wywiedziona z greckiej kolumny i starożytnego obelisku, do intensywnego aplikowania otoczeniu substancji obcych naturalnemu środowisku. W turystyce: plecak na rusztowaniu, sterujący nad głową. Obowiązujący w okolicach gór i pagórków, jak noszenie nart na Krupówkach. Na swe rozmiary - lekki. Największy szpan w Polsce i Europie środkowo-wschodniej zadawany za pomocą kominów firmy o swojskiej nazwie WOLFSKIN.



motto: LEGE, QUAESO!

Książki o polskich wyprawach alpinistycznych wydane w latach 1931-1961

Polskie wyprawy alpinistyczne - choć nie wszystkie - doczekały się szczegółowych opracowań w "Taterniku" i "Wierchach". Bardzo ciekawymi i szerokimi relacjami są książki o poszczególnych wyprawach organizowanych przez PIT, a także przez KW.

Nasze wyprawy alpinistyczne należałyby zacząć od A. Malczewskiego. W niniejszym wykazie zajmie się tylko wycinkowo okresem lat 1931-1961. Jako że dostępność tych pozycji jest duża, a także ze względu na klasyczny okres najciekawszych wypraw i to, że ówczesne wyprawy położyły podwaliny pod dzisiejsze sukcesy. Choćby z tego powodu warto niektóre zapomniane dziś książki przypomnieć, szczególnie młodym i zbierającym książki alpinistom. Spis ten jest niepełny, ale jeśli będzie uzupełniany w następnych tego typu artykułach czy opracowaniach, rola autora być może nie pionierska będzie zakończona - jako że korzystałem ze świetnych opracowań S. Tobicyzka "Polacy na szczytach świata", wyd. 1964 i 1966 oraz I i II tomu "Wśród lodów i skał" wyd. 1959 i 1961.

Pierwszą książkę, którą umieszczam w niniejszym wykazie, jest książka o wyprawie indywidualnej - włoskiej - organizowanej przez Polkę w Pamir, a ostatnią jest książka J. Dorawskiego o wyprawie w Andy, która odbyła się przed ponad ćwierć wieku od wydania tej książki. Warto ją przeczytać, a także pozostałe wymienione w niniejszym spisie, co niektóre warto mieć w swoim podręcznym księgozbiorze książek górskich. Być może okres dzisiejszych wielkich osiągnięć doczeka się dobrych i ciekawych książek górskich, lecz zawsze z przyjemnością będziemy wracać do tych, co napisano o pierwszych wyprawach w Alpy czy Himalaje.

- Jadwiga Toeplitz-Mrozowska, "Moja wyprawa na Pamiry", Lwów 1931, s. 93.
 Jakub Bujak, "Na nartach przez Norwegię", Lwów 1932, s. 63.
 Wiktor Ostrowski, "Na szczytach Kordylerów", Lwów 1935, s. 159.
 Bolesław Chwaścinski, "Wśród gór Maroka", Lwów 1935, s. 160.
 Justyn Wojszno, Stanisław Siedlecki, "Wśród polarnych pustyń Svalbarok", Lwów 1935, s. 190.
 Jan A. Szczepański, "W śniegach i stońcu Afryki", Warszawa 1935, s. 309.
 Konstanty Narkiewicz-Jodko, "W walce o szczyty Andów", Warszawa 1935, s. 239.
 Wanda Borucka, "Polacy na szczytach Andów", Warszawa 1935, s. 71.
 Roman J. Wojtusiak, "W sercu Kaukazu", Lwów 1937, s. 254.
 Wiktor Ostrowski, "W skałę i lodzie", Lwów 1937, s. 227, wyd. I powojenne Czytelnik 1974, s. 165, wyd. II powojenne Czytelnik 1982, s. 174.
 Wawrzyniec Żuławski, "Wędrowki alpejskie", Warszawa 1939, s. 87, wyd. II Warszawa 1956, s. 74.
 Jakub Bujak, "Polish himalayan expedition", Glasgow, 1944, s. 16.
 Wiktor Ostrowski, "Safari przez Czarny Ład", Londyn 1947, s. 320.
 Janusz Klarner, "W śniegach Himalajów", Czytelnik 1948, s. 63.
 Wiktor Ostrowski, "Mas alto que les condors", B. Aires 1954, s. 149.
 Jan H. Szczepański, "Wyprawa do księżycowej ziemi", PIW 1954, s. 322, wyd. II 1957, s. 340.
 Tadeusz Bernardzikiewicz, "Polska safari w Górach Księżycowych", NK 1955, s. 55.
 Janusz Klarner, "Wanda Devi", Czytelnik 1956, s. 240.
 Witold H. Paryski, "W górach Atakamy", NK 1957, s. 193.
 Lech Utracki, "Notatnik alpejski", Łódź 1958, s. 181.
 Józef Nyka (pod redakcją), "Burza nad Alpami", Iskry 1958, s. 227, wyd. II 1959, s. 340.
 Wiktor Ostrowski, "Wyżej niż kondory", SiT 1959, s. 208, wyd. II 1970, s. 195, wyd. III 1977, s. 199, wyd. IV 1984, s. 246, wyd. V 1989, s. 244.
 Jan A. Szczepański, "Siedem kręgów wtajemniczenia", SiT 1959, s. 313.
 Stefan Z. Rożycki, "Wśród lodów i skał", SiT 1959, s. 325.
 Lech Utracki, "W krainie Tau-Dzin-Badyszaczka", Łódź 1960, s. 179.
 Tadeusz Makarewicz, Roman Trechciński, "Hallo, Spitsbergen", Iskry 1960, s. 298.
 Przemysław Burchard, "Na dno świata", Czytelnik 1961, s. 174.
 Jan K. Dorawski, "Wysoko w Andach", Iskry 1961, s. 295.

Janusz Terakowski

Już na samym początku należy stwierdzić, że stan środowiska na Dolnym Śląsku jest zły, bardzo zły, a w niektórych jego częściach wręcz katastroficznie zły. Na stan środowiska przyrodniczego największy wpływ mają: stan powietrza atmosferycznego, wody i gleby, których zanieczyszczenia powodują cały szereg daleko idących konsekwencji dla samego człowieka, flory, fauny, a nawet tak wydawałoby się dalekiej od wpływu tych czynników dziedziny aktywności człowieka, jak budownictwo (dotyczy to głównie niszczenia zabytków). Oczywiście, określając stan Dolnego Śląska pod tym względem jako bardzo zły, nie można odnosić się tylko do sytuacji postulowanej, ale przede wszystkim porównać go do stanu innych regionów w kraju, czy też stanu środowiska w innych krajach, również na innych kontynentach. Niestety, porównanie to nawet na tle bardzo zaniedbanej pod względem ekologicznym Polski wypada dla naszego regionu co najmniej bardzo źle. Świadczy o tym choćby fakt, że aż 5 spośród 27 wyróżnionych w Polsce obszarów ekologicznego zagrożenia znajduje się właśnie tutaj. Obszary te obejmują prawie 35% powierzchni Dolnego Śląska. Występowanie tych obszarów związane jest głównie z rozmieszczeniem wielkiego, bardzo szkodliwego dla otoczenia przemysłu, jak też z istnieniem dużych aglomeracji miejskich (gospodarka komunalna, komunikacja). Dolny Śląsk z racji swego położenia geograficznego i innych uwarunkowań (takich, jak np. przewaga wiatrów południowo-zachodnich), jest bardzo narażony na "import" zanieczyszczeń powietrza z zagranicy. A nasi sąsiedzi nie są dla nas pod tym względem zbyt łaskawi. Takie zakłady, jak elektrownia "Most" w Czechosłowacji (bazująca na węglu brunatnym), elektrownie "Hirschfelde" i "Völkersfreundschaft" w NRD mają ogromny udział w niszczeniu lasów w Sudetach Zachodnich.

Wyróżnione na terenie Dolnego Śląska obszary ekologicznego zagrożenia to regiony: Legnicko-Głogowski, Wrocławski, Turoszowski, Jeleniogórski, Wałbrzyski.

Czy przeżyjemy na Dolnym Śląsku?

Głównym sprawcą zanieczyszczeń w Legnicko-Głogowskim OEZ są trzy huty miedzi: Głogów I, Głogów II i Legnica. We Wrocławskim OEZ nakładają się działalność wielu zakładów przemysłowych szczególnie szkodliwych dla otoczenia i oczywiście wielu pomniejszych. Największy udział w zanieczyszczeniu środowiska mają jednak: Zespół Elektrowni "Wrocław", Wrocławska Fabryka Farb i Lakierów, Pafawag, Hutmen, Dolmel, Zakłady "Organika-Rokita" w Brzegu Dolnym, Zakłady Tworzyw Sztucznych "Erg" w Olawie, W Turoszowskim OEZ największą ilość zanieczyszczeń powietrza emituje elektrownia "Turów", a także elektrownie znajdujące się na terenie NRD, wszystkie bazujące na węglu brunatnym. Wydaje się, że przykładem szczególnie nieprzemysłowej decyzji lokalizacyjnej było usytuowanie Zakładów Włókien Chemicznych "Chemitex-Celwiskoza" na terenie miasta Jelenia Góra. Po pierwsze, emitowane przez ten zakład zanieczyszczenia podważały w znacznym stopniu walory turystyczne i zdrowotne regionu. Po drugie, efekt ten spotęgowały by przez specyficzny mikroklimat Kotliny Jeleniogórskiej, który powoduje kumulowanie się zanieczyszczeń. W związku z tym nawet po zamknięciu zakładu (w końcu 1989 r.) skutki, niektóre nieodwracalne, będą odczuwane jeszcze bardzo długo. W wałbrzyskim obszarze ekologicznego zagrożenia największy udział mają znajdujące się w regionie kopalnie węgla kamiennego i Zakłady Koksownicze "Wałbrzych".

Ponadto w dużych aglomeracjach miejskich duży wpływ na zanieczyszczenie powietrza ma komunikacja. Zanieczyszczenia środowiska powodują też wysypiska komunalne (znajdujące się zwykle w złym stanie sanitarnym). Wszystkie te przyczyny oraz wiele, wiele innych, pomniejszych, nakładających się na siebie, przyczyną są na Dolnym Śląsku olbrzymie szkody w środowisku przyrodniczym, niejednokrotnie nieodwracalne. Niekontrolowane skażenie i zanieczyszczenie powietrza, wód i gleb prowadzą do konsekwencji wielkich - teraz i nieobliczalnych w przyszłości dla środowiska przyrodniczego i dla człowieka.

Powietrze, którym oddychamy, różni się znacznie od tego, którym oddychali nasi przodkowie. Jest ono nasycone wieloma trującymi związkami, takimi jak dwutlenek siarki, dwusiarczek węgla, tlenki azotu, kwas siarkowy, siarkowodor i wiele, wiele innych. W Polsce i na Dolnym Śląsku normy skażenia tymi gazami przekraczane są na wielu obszarach wielokrotnie, a normy te i tak są o wiele wyższe od analogicznych międzynarodowych. Np., na terenie "Uzdrowska Cieplice" przeciętna stężenia średniorocznych dwusiarczku węgla z ostatnich lat przekracza stężenie dopuszczalne ponad 160 razy. Przykłady takie można mnożyć długo.

W zakresie zaopatrzenia w wodę Dolny Śląsk znajduje się w relatywnie trudnej sytuacji (małe zasoby w stosunku do zapotrzebowania). Przemysł zużywa ogromne ilości wody, a jednocześnie powoduje jej zanieczyszczenie. Zakłady przemysłowe zanieczyszczają wodę dwójako:

- pyłami i gazami, które wraz z deszczem lub śniegiem, a także samodzielną opadającą na ziemię, a następnie przedostającą się do wód powierzchniowych,
- także w sposób bezpośredni, odprowadzając zanieczyszczenia prosto do wód.

Znacznego udziału w zanieczyszczeniu wód nie można też odmówić gospodarce komunalnej. Pośrednią przyczyną zanieczyszczenia wód jest brak, niedostateczna przepustowość czy też niska skuteczność oczyszczalni ścieków. Większość z nich to, niestety, nienajskuteczniejsze oczyszczalnie mechaniczne. Stałe niewielki jest procent skuteczniejszych oczyszczalni chemicznych i biologicznych. Szczególnie groźnym zjawiskiem jest pogorszenie się jakości wody używanej do celów spożywczych: udział wodociągów mających dobrą wodę znacznie się obniżył. Prognozy na przyszłość też nie są dobre. Małe zasoby wody przy rosnącym jej zanieczyszczeniu będą oznaczały pogorszenie się jakości wody.

Niezadowalający jest również stan gleb. Degradacja gleb ma wieloraki charakter i polega na powstawaniu przekształceń geomechanicznych, hydrologicznych oraz chemicznych. Wśród nich najgroźniejsze i najgroźniejsze są zmiany wywołane przez przekształcenia chemiczne. I tu największy swój udział mają wielkie zakłady przemysłowe, które emitują w postaci pyłów i gazów szereg związków o działaniu szkodliwym lub toksycznym. Są to ołów, miedź, tlenki siarki i węgla, mgły kwasu siarkowego, cynk, kadm, arsen i niektóre inne pierwiastki. Emitowane pyły i gazy oddziałują kompleksowo na środowisko glebowe. Duże ilości metali ciężkich przyczyniają się do zmiany szeregu właściwości, powodując degradację środowiska glebowe-

zjawiska. Wspólne działanie tych trzech czynników jest szczególnie dobrze widoczne na przykładzie sudeckich borów górnogłogowych, gdzie zamierają drzewostany świerkowe.

Wszystkie te negatywne zjawiska mają już teraz bardzo daleko idące konsekwencje dla życia i zdrowia ludzi, zwierząt, powodują wymieranie wielu gatunków roślin. Ich wpływ w przyszłości jest bardzo trudny do przewidzenia, jednak narastanie zjawisk zanieczyszczenia powietrza, gleby i wody, co obserwujemy stale, może doprowadzić na Dolnym Śląsku do powszechnej katastrofy ekologicznej.

Oczywiście Dolny Śląsk nie jest tutaj wyjątkiem ani w skali kraju, ani w skali międzynarodowej. Jednak nasilenie całego szeregu negatywnych zjawisk w porównaniu z innymi regionami wykazuje, że sytuacja w naszym regionie jest pod względem ekologicznym szczególnie poważna.

Problem zanieczyszczenia środowiska przyrodniczego jest tak poważny, że należałoby podjąć próbę pełnej likwidacji tego zjawiska w skali całego kraju u samych źródeł jego powstawania. Póki jednak nie zostaną wypracowane pewne ogólne rozwiązania, nie można w naszym regionie zapomnieć o podejmowaniu wszelkich, nawet najmniejszych przedsięwzięć zmierzających do zmniejszenia destrukcyjnego działania na środowisko. Mam tu na myśli także działania, jak rekultywacja gruntów, zamknięcie pojedynczych zakładów, budowa nowych oczyszczalni ścieków, tworzenie nowych obszarów zalesionych. W ramach tych działań należałoby też zwrócić baczną uwagę na niektóre środki transportu, szczególnie samochody ciężarowe (głównie należące do sektora publicznego), zatruwające atmosferę w sposób karygodny i przekraczające wszelkie granice. Czasami przecież dla zlikwidowania tego zjawiska wystarczałaby drobna naprawa.

Gdy mówią się o likwidowaniu zjawiska u źródeł jego powstawania, trzeba sprecyzować te źródła. Sprawa polega na sposobie podejścia do środowiska przyrodniczego. Doktryna, która określa dobra

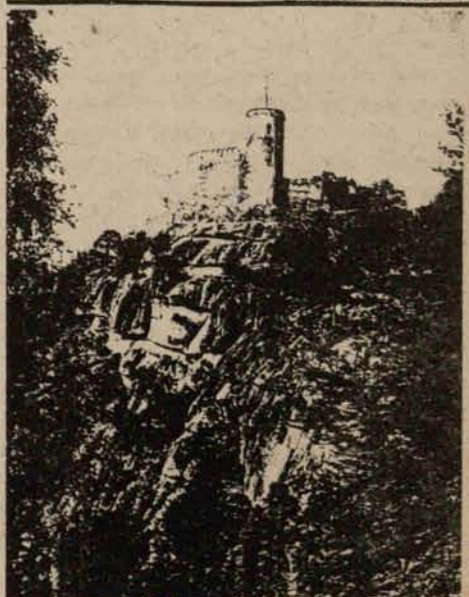
przyrody jako dobra wolne, nieograniczone i niewyczerpane, z których każdy może swobodnie korzystać, nie ponosząc z tego tytułu żadnych obciążeń, z całą pewnością nie stwarza warunków dla nadania odpowiedniej rangi ochronie środowiska. Tak więc, po pierwsze, szansa poprawy tkwi w zmianie mentalności ludzkiej, szczególnie mentalności kadry kierowniczej. Aby tę zmianę myślenia danejmu decydentowi ułatwić, potrzebne są szerokie zmiany natury prawnej i instytucjonalnej. W dobie zmian stwarza się szczególnie możliwości obciążenia każdego przedsiębiorcy kosztami szkód spowodowanych przez niego w środowisku. Szkody te należy naliczać w ten sposób, aby przedsiębiorcy bardziej opłacało się zainstalować urządzenia oczyszczające czy filtrujące, zmienić przestarzałą technologię, a w niektórych sytuacjach szczególnie drastycznych tak, by musiał ogłosić upadłość i rozwiązać przedsiębiorstwo. Taki proces byłby z całą pewnością dla niektórych bardzo drastyczny, ale wydaje się, że w obecnej sytuacji zachodzi potrzeba podejmowania działań zdecydowanych i drastycznych, a im później zostaną one podjęte, tym będzie je trudniej przeprowadzić i tym większe pociągają za sobą koszty.

Powszechnie akceptowanym wskaźnikiem zmian i stanu czystości środowiska przyrodniczego jest stan zdrowotny flory. Szczególnie dobrze funkcję tę spełniają lasy. Problem zdrowotności lasów jest tym ważniejszy, że w całej Europie Środkowej wylesienie przekroczyło już granice optymalnych relacji w środowisku. Lasy są w stanie pochłaniać bez szkody dla siebie tylko ograniczoną liczbę pyłów. Dodatkowo destrukcyjnie działa na lasy wzrost zakwaszenia gleby. Ogólny stan zdrowotny lasów znajduje w Polsce wyraz w postaci kwalifikacji stref zagrożenia. Jest to podział czterostrefowy:

- strefa I obejmuje drzewa o słabych uszkodzeniach (ubytki w przyszłości sięgają do 10%),
- strefa II to uszkodzenia średnie (ubytki 10-15%),
- strefa III obejmuje uszkodzenia silne (ubytki 30-75%),
- strefa IV to zamieranie gwałtowne i uszkodzenia śmiertelne.

Tak na dolnym Śląsku, jak i w całej Polsce obserwujemy, niestety, wzrost powierzchni lasów objętych drugą i trzecią strefą zagrożenia. Na Dolnym Śląsku szkody wywołane emisją skażeń przemysłowych objęły około 5% dolnośląskich lasów, tj. około 21 000 ha, ale w 1983 r. wartość ta wzrosła do 80 000 ha, przy czym wzrost w strefie II był dwunastokrotny, zaś w strefie III ponad dwudziestokrotny. Wskazuje to dobitnie skalę problemu i świadczy o tempie wzrostu zagrożenia ekologicznego na Dolnym Śląsku. Szczególnie zagrożonymi w naszym regionie rejonem są Sudety Zachodnie. Działają tu "eksport" zanieczyszczeń z elektrowni znajdujących się na terenie NRD i Czechosłowacji. Inym obszarem szczególnie narażonym na szkody jest Legnicko-Głogowski Okręg Miedziowy. Silnie osłabione poprzez działania zanieczyszczeń lasy są niezwykle podatne na działanie czynników atmosferycznych i szkodników, co jeszcze potęguje skalę

Tomasz Maliszewski



Chojnik

Tegoroczny CZAK obfitował w wiele atrakcji, był doskonale zorganizowany. Ożywił kontakty między krajoznawcami, przybyłymi z całego kraju.

Augustów - miejsce I i XX Centralnego Zlotu Aktywu Krajoznawczego - powitał nas piękną, upalną pogodą. W piątek, 31 sierpnia, po śniadaniu, na placu przed Domem Wycieczkowym PTTK przy ul. Sportowej 1, siedzibą Zlotu, zgromadziło się stu kilkudziesięciu krajoznawców z 34 województw. Po miłym powitaniu przez Prezesa ZW PTTK w Suwałkach Józefa Luto, przewodniczącego Komisji Krajoznawczej ZG PTTK Tadeusza Rycerskiego i otwarciu Zlotu przez Komandora Zygmunta Nowickiego, zrobiono nam pamiątkowe zdjęcie.

Zgodnie z hasłem tegorocznego Zlotu ZACHOWAĆ DLA PRZY SZŁOŚCI Komandor ds. programowych Jerzy Kilimko zaprosił nas następnie na bardzo interesującą prelekcję Krzysztofa Wolframa. Prelegent zapoznał nas z programem petekowskiej idei ZIELONYCH PŁUC POLSKI. Ten funkcjonalny region obejmuje północno-wschodnią Polskę jako ostatnią erklawę nieskażonego środowiska naturalnego naszego kraju. W celu jego kompleksowej ochrony i racjonalnego kształtowania podpisano w Białowieży 13 maja 1988 r. porozumienie województw: białostockiego, tomżyńskiego, olsztyńskiego, ostrołęckiego i suwalskiego. Realizacja idei Porozumienia Białowieżskiego zajmuje się utworzony

lona. Hitlerowcy nie oszczędzili nawet drewnianej modłerny oraz pobliskiego cmentarza.

Przywiązanie do ojcowizny nakazywało byłym mieszkańcom powrót na zgłiszczą wioski. W latach czterdziestych odbudowali swe domostwa, modłerną, szkołę, w dawnym cmentarzu w miejscu wypalonych krzyży ustawili nowe. Nasz gospodarz twierdził, iż teraz tylko część wioski stanowią starowiercy, ale żyją w symbiozie z katolikami i ateistami. Staroobrzędowcy zachowali tradycyjne wierzenia, kalendarz julański. Chłopcy stają się mężczyznami z chwilą "wyhodowania" brody (absolutnie nie można jej golić!). Na co dzień zajmują się sprawami gospodarskimi, w dni świąteczne udają się do modłerny. Praktycznie większość ich świąt zblizona jest do tradycji obchodzonych w Kościele Rzymsko-Katolickim, ale w terminach dostosowanych do starego kalendarza julańskiego. Nastawnik nie mógł nam pokazać swej świątyni, jako że dysponował tylko jednym kluczem (drugi miał inny mieszkaniec wioski, co podyktowane było względami bezpieczeństwa, nie tak dawno skradzione ikony odnaleziono aż w Krakowie). Natomiast zapraszał w najbliższą niedzielę na nabożeństwo do modłerny...

O siedemnastej gospodarz pożegnał się z nami, gdyż o tej porze z reguły... dołi krowy. Na drogę dał nam po kilka słodkich gruszek.

Byliśmy pod ogromnym wrażeniem przeprowa-

Dziękujemy suwalsko-augustowskim gospodarzom Zlotu za gościnność i serdeczność, dostarczenie nam niezapomnianych wrażeń, świetną organizację i smakowity kulinarny.

Stanisław Ziobro
Teresa Klimowicz



Oleśnica - Brama Wroclawska

XX JUBILEUSZOWY CZAK

w lipcu 1989 r. Zakład Usług Ekologicznych Narodowej Fundacji Ochrony Środowiska ZIELONE PŁUCA POLSKI. Obejrzelismy wiele fruujących przetrzoczy, świadczących o tym, że ten region cechuje niespotykane gdzie indziej w skali Polski i Europy bogactwo szaty roślinnej i świata zwierzęcego. Popularyzacja tej trafnej idei i edukacja ekologiczna otoczenia to zadanie dla nas krajoznawców.

Drugą część prelekcji poprowadził Lech Krzysztof, prezentując urocy Wigierski Park Narodowy jako jeden z najmłodszych (powstał 1 stycznia 1989 r.), a jednocześnie należący do największych parków narodowych w Polsce (14 840 ha).

Natomiast po południu mieliśmy uczestniczyć w inwentaryzacji krajoznawczej. Nam, tj. niżej podpisanej dwójce wrocławian oraz dziewczętom z Legnicy i Złotoryi, przypadała wioska GABOWE GRADY (ok. 5 km na południe od Białobrzegów). Nazwa ta niewiele mówi przybyszowi z zachodnich kresów kraju, ale autochtoni (i broda przewodnikowa) wskazują, że wieś ta zamieszkiwana jest przez tzw. staroobrzędowców, tj. mieszkańców dawnej Rosji, którzy nie przyjęli reformy Kościoła Wschodniego. Prześladowani przez zwolenników Prawosławia, schronili się na górne ziemie Rzeczypospolitej na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Dla nas więc odtworzyła grąka krajoznawcza.

Wysiedliśmy z autokaru na drodze tuż obok drewnianej modłerny i kamiennego obelisku. Przeglądając się domostwom tej wielożońcy stwierdziliśmy, iż mieszkańcy nie są zbyt zamożni. Dominowały bowiem drewniane domostwa, a zaledwie kilka było murowanych. Napotkanych mieszkańców pytaliśmy o dom nastawnika (papa). Miał to być bowiem duchowy przewodca społeczności wioskowej. Piaszczystą drogą dobrnęliśmy (ok. 2 km) do murowanego domu. Gdy kręciliśmy się obok opuszczonego domostwa (pora prac polowych), usłyszeliśmy głos dobiegający z pobliskiego pola. Na ścieżniku zauważyliśmy niewysokiego mężczyznę, wyglądającego na nie więcej niż sześćdziesiąt kilka lat. Dostojna broda wskazywała, iż należy do staroobrzędowców. Okazało się, że jest on tutejszym nastawnikiem. Zaprosił nas do swego domostwa. Był zaciekawiony, co skłoniło nas do odwiedziny. Wyuszczyliśmy mu cel naszej wizyty. Gospodarz, początkowo nieufny, w trakcie rozmowy wyraźnie się ożywił. Mieliśmy wrażenie, że nawet nas polubił. Chętnie pokazywał księgi modłitanne (wydawane jednak w Stanach Zjednoczonych, toteż z tekstem cymylicy sąsiadował język angielski). O tym, iż gospodarz jest starowierem, świadczyły ikony zawieszane (rzecz dziwna) w narożu chaty. Tam bowiem codziennie rano padają promienie słońca, a więc zgodnie z tradycją tam zawisły ikony.

Miron Filipow, tak przedstawił się rozmówca, ilczył spbie hol hol... osiemdziesiąt trzy lata! Przeżył bardzo wiele: czasy carskie, międzywojenną Rzeczypospolitą, okupację radziecką i hitlerowską. Staruszek twierdził, iż do 1939 r. gmina starowierców ilczyła około siedemnaście tysięcy dusz. Po wojnie ilość się zmniejszyła, lecz nie mógł podać dokładnej liczby. Prawdziwą tragedię Grądowanie przeżył w 1942 r. 18 marca około czwartej rano hitlerowscy żołdacy wtargnęli do wioski. Miał to być odwet za ukrywanie więźniów zbiegłych z łagrów. Rozstrzelano wtedy 60 mężczyzn, a resztę mieszkańców wioski wywieziono furmankami na stację kolejową, a stamtąd na teren Rzeszy, do obozów pracy (nasz gospodarz trafił w rejon Krosna Odrzańskiego). Wioska została doszczętnie spa-

dzanej rozmowy. W epoce narastających stresów cywilizacyjnych spotkaliśmy się z innym modelem życia, zgodnym z rytmem natury i tradycją. W powrotnej drodze obejrzelismy skromny drewniany budynek modłerny (wg relacji nastawnika trzeci w tym miejscu), pomnik upamiętniający martyrologię mieszkańców, weszliśmy też na cmentarz. Kilka pochylonych drewnianych krzyży tkwiło pomiędzy nowoczesnymi lastrikowymi nagrobkami...

Wieczór spędziliśmy przy ognisku w Augustowie. Nie zabrakło wspomnień, suwalsko-augustowskich legend, piosenek i gorących kiełbasek. Na nocną wycieczkę po okolicy zdecydowało się tylko dwudziestu odważnych.

1 września - drugi dzień Zlotu podzielił nas na grupy, zgodnie z zainteresowaniami. Do wyboru było kilka wycieczek krajoznawczych: Północna Suwalszczyzna, Szlakiem AK i powstań narodowych, Wigierski Park Narodowy oraz Spływ Kajakowy Rospuda. Wybraliśmy Wigierski Park Narodowy z jego Czarną Hańczą, Kamionką, Wiatrołuzą, Pientami, Białym Wigierskim i Wigrami, wpisaliśmy na międzynarodową listę unikalnych obiektów "Aqua". Pokonując przyrodnicze przeszkody dotarliśmy do osłabłości parku, jaką są niewielkie dystroficzne jeziora śródlądne, zwane potocznie "sucharami". Poza śladami bogatej fauny WPN, zaprezentowane przez szereg gatunków zwierząt, nie udało się nam zobaczyć jelenia, sarny, dzika, borsuka, kuny, nawet zająca, a przede wszystkim najbardziej charakterystycznego dla parku gatunku - bobra, ilcznie występującego na brzegach jezior i rzek. Za "zdobycie" WPN czekała nas niespodzianka - Odznaka MIŁOŚNIK SUWALSZZYNY I MAZUR w stopniu brązowym! Bardzo głodni, ale pełni 7-godzinnych wrażeń wróciliśmy do Augustowa.

Po południu uczestniczyliśmy w plenarnym posiedzeniu Komisji Krajoznawczej ZG PTTK, któremu przewodniczył kol. Tadeusz Rycerski. W związku z przygotowaniem merytorycznym do IV Kongresu Krajoznawstwa Polskiego podjęto dyskusję na temat udziału PTTK w zagospodarowaniu przestrzennym kraju, zwłaszcza obszarów krajozaby chronionego. Bogata wymiana doświadczeń aktywu krajoznawczego wskazuje na ogromną troskę o wdrażanie ekologii w życie, przy jednoczesnej świadomości, że jest to bardzo trudne. Podkreślono potrzebę konkretnych, fachowych opracowań.

Miłym akcentem posiedzenia było mianowanie kilku uczestników Zlotu Instruktorami Krajoznawstwa Regionu i Instruktorami Krajoznawstwa Polski.

Redaktor Naczelny Wydawnictwa "Kraj" Janusz Żmudzinski poinformował zebranych o nowościach wydawniczych, które są już do nabycia i tych, które pojawiają się w najbliższym czasie.

W godzinach wieczornych odbyło się zakończenie Zlotu. Przygotowano nagrody albumowe za inwentaryzację krajoznawczą dla Kielc, Lublina i Wałbrzycha, a wyróżnienia dla Leszna, Wrocławia, Legnicy i Zielonej Góry. Zwycięzca konkursu fotograficznego został Lublin i jemu przypada nagroda pieniężna. Proporzycy otrzymali odznaki - uczestnicy nocnej wyprawy. Nagrodzono wszystkich autorów prac pisemnych, którzy nadesłali je do 15 sierpnia br. Wszyscy uczestnicy Zlotu otrzymali dyplomy. Natomiast przedstawicielka Koszalina wygrała konkurs krajoznawczy i jako jedyna otrzymała ogromny, pyszny sękacz.

Do ogólnych podziękowań dotęcza się Wrocław.

Przygoda

Wszyscy wiemy, jak trudno dostać się do kraju naszych południowych sąsiadów. Atrakcji ta ziemia piwem i rumem płynącą może dostarczyć wiele i warto użyć różnych forteli, by ją odwiedzić. Jedni kombinują "lewe" zaproszenia, inni, bardziej zdecydowani, po prostu nie przejmują się zakazami i przyjmując zasadę "Pan Bóg nie stworzył granic", przechodzą na drugą stronę, by po wypiciu paru piw wrócić w ten sam sposób. Metoda to jednak ryzykowna, nawet nie ze względu na WOP, ale czeskie władze, które i tak niechętnie Polakom, takich turystów już nie tolerują wcale. Wydawałoby się więc, że po legalnym wjeździe do Czechosłowacji osłagamy pełnię szczęścia. Bywa jednak różnie. Wlemy wszyscy, że przejść granicznych jest mało, a ich lokalizacja dyktowana przebiegiem górnych dróg, po których pieszy turysta zwykle nie chadza. Często więc wracając do Polski traci się mnóstwo czasu tylko na to, by odpowiednie służby w wyznaczonym miejscu obejrzaty paszport.

W takiej sytuacji znalazłem się podczas wędrowki w czeskich Karkonoszach. Pogoda załamała się całkowicie, towarzyszyła mi gęsta mgła i deszcz, nie pozostało nic innego jak wracać czym prędzej do domu. I tu zaczął się problem. Do Harrachowa długa droga przez góry. Można podjechać autobusem, ale od przystanku "Na myte" do przejścia granicznego trzeba by iść kilka kilometrów, tracąc w dodatku resztki koron na bilet i kilka godzin czasu na dodatkową podróz. Postanowiłem skrócić drogę. Autobusem podjechałem pod grzebiel Karkonoszy w okolicach Spindlerowej boudy i... ruszyłem na drogę przyjaźni. Po kilku spotkaniach z pogranicznikami zorientowałem się, że chłopcy się nie zorientowali, skąd idę, i szedłem na polską stronę. Zaoszczędziłem w ten sposób nieco koron i cztery godzinny czas. Żadne z państw nic nie straciło, bo nie miałem w plecaku niczego, co mogłoby zainteresować celników.

Ktoś powie: było to nielegalne przekroczenie, bezprawne, karalne. Zgoda, jednak czas, gdy granica była żelazną kurtyną, odchodzą w przeszłość. Ruch graniczny będzie rósł i czas najwyższy pomyśleć o tym, by umożliwić turystom legalne jej przekraczanie bez zbędnych wędrowek do przejść. Kiedyś w Karkonoszach były trzy przejścia graniczne, obecnie jest jedno, zupełnie na peryferiach tych gór. Czas najwyższy to zmienić.

J.P.

Chochlik czuwa

Ten niespokojny duszek znów dał o sobie znać - wiadomo, gorące lato! Bardzo serdecznie przepraszamy kol. Jana Szefczyka, którego nazwisko chochlik tak bardzo przekroczył w poprzednim numerze. Jasłu, nie gniewaj się!

Redakcja

Większość optymistycznych wizji przyszłości porażuje świat, a przynajmniej całe jego kontynenty, jako jednolite organizmy państwowe. Dla sztucznych podziałów, mimo ich historycznego uzasadnienia, trudno znaleźć logiczną podbudowę, twórcy utopii karmią nas więc obrazami Zjednoczonych Stanów Europy i innymi podobnymi twórcami. Koncepcja ta pod pewnym względem już od dawna się zrealizowała, niestety, w bardzo przetrwany sposób. Gdy mowa bowiem o zanieczyszczeniach środowiska, zwłaszcza o obecności toksycznych gazów w atmosferze, pojęcie to ma zupełnie umowne znaczenie. Szczególnie wyraźnie widać to właśnie w zatłoczonej do granic możliwości i wysoko uprzemysłowionej Europie. Państwa i narody są na jej terenie tak ściśnięte, że nie może być mowy o ich oddzielnym traktowaniu. Zanieczyszczenia wędrują wraz z prądami powietrza po całym kontynencie, o lepszej czy gorszej sytuacji decydują jedynie wiatry. A jednak, choć sprawa jest wspólna, poszczególne kraje w rozmaity sposób traktują problemy ekologiczne. Nawet między przygotowującymi się do gospodarczego zjednoczenia w 1992 r. państwami EWG są zaskakujące różnice programów walki z zanieczyszczeniami. Wśród krajów europejskich są takie, które zrobiły już bardzo wiele i takie, które walczą z zanieczyszczeniami jedynie za pomocą propagandy. Zależy to nie tylko od decyzji politycznych, lecz i od możliwości ekonomicznych oraz warunków lokalnych. Skrajnym przykładem wpływu przyrody na politykę ekologiczną może być Norwegia. W kraju tym praktycznie nie istnieje trapiący innych problem emisji tlenków siarki. Sprawili to brak zawodowej energetyki w jej typowej odmianie. Bogactwo rzek i obfitość gór sprawiają, że energia z bardzo licznych elektrowni wodnych nie tylko zaspokaja własne potrzeby Norwegów, lecz i znaczną część zapotrzebowania Szwecji. Dopiero w najbliższych latach planuje się budowę jednego lub dwóch bloków po 600 MW, opalanych praktycznie bezsiarkowym gazem ze złóż Morza Północnego. Odsiar-

cywnymi zakładami. Zamiast narzucać konieczność przebudowy najstarszych elektrowni, wprowadzono w nich ściślejsze normy jakości stosowanego węgla. Odpady z instalacji odsiarczających służą do produkcji materiałów budowlanych. Uruchomiono także demonstracyjną, opaloną z funduszu rządowego, instalację odzotowania katalizacyjnego według technologii firmy Mitsubishi. Podobne środki zastosowane w Austrii także doprowadziły do znaczącej poprawy stanu środowiska. Pomiędzy 1980 i 1985 r. badane w najtrudniejszym sezonie zimowym w Wiedniu i trzech innych dużych miastach stężenie dwutlenku siarki przy ziemi ograniczono o 30-60%. Próbowane są też różne instalacje odzotowujące, według rozwiązań Mitsubishi i Hitachi, z katalizatorami ceramicznymi i płytowymi. Szwecją natomiast ograniczyła emisję dwutlenku siarki, która sięgała w początkach lat siedemdziesiątych 1 mln Mg, do 1/3 i zamierza zejść w 1995 r. poniżej 175 tys. Mg. Szwedzi mają własne technologie odsiarczania opracowane i wprowadzone przez firmę Fiaekt. Niewiele zmienia to jednak sytuację w kraju, gdyż już obecnie 80% osadzonego dwutlenku siarki pochodzi spoza granic. Szwedzi liczą zapewne na wzajemność sąsiadów.

Francuzi zamierzali ograniczyć emisję tego związku do połowy między rokiem 1980 i 1990. Ządanie to wykonali znacznie szybciej, bo zaledwie w pięć lat. Pomogło w tym niewątpliwie rozpowszechnienie się elektrowni jądrowych, a jednocześnie perspektywa karnych opłat w wysokości 130 franków za tonę SO₂. Uzyskane w ten sposób fundusze są obracane na realizację dalszych planów ochrony środowiska. Do 0,2% zmniejszona została dopuszczalna zawartość siarki w paliwie dieslowskim i w oleju opałowym. Mimo tych sukcesów niektóre strefy, a zwłaszcza okolice Strasburga, wciąż są zagrożone i wymagają nieustannego nadzoru stanu środowiska. Podobnych pozytywnych przykładów można znaleźć w Europie jeszcze kilka.

Na liście trucielei nie jesteśmy jednak samotni.

- 12 (import z W. Brytanii), Węgry - 10 i Polska - 9. Centrum kłęski są północne Czechy, obszar wysoko uprzemysłowiony, w którym powstaje - głównie z węgla brunatnego - 45% energii elektrycznej, zaś Bratysława jest najbardziej zanieczyszczonym miastem Europy. Trzecia część czechskich lasów umiera, a dalszych 20% jest poważnie zagrożonych. Podjęto pewne przeciwdziałania, a planowane obecnie nakłady na ochronę środowiska zwiększono trzykrotnie. Jednak z 32 przedsięwzięć ekologicznych, które miały być zrealizowane do 1988 r., w dwunastu nie rozpoczęto jeszcze prac projektowych. Czechosłowacja liczy na technologie i kredyty z RFN. W grę wchodzi przy tym bardzo poważne kwoty. Same tylko importowane urządzenia do zakładów w Tusimcach będą kosztować 200 mln dol. Nie wydaje się jednak, by zwłaszcza w niewielkich, gęsto zaludnionych i uprzemysłowionych Czechach była możliwa wyraźniejsza poprawa bez całkowitej przebudowy energetyki.

Najgroźniejszym trucicielem Europy jest NRD. Szczęśliwie dla tego kraju warunki meteorologiczne sprawiają jednak, że około 60% wytworzonych zanieczyszczeń trafia do państw ościennych - w znacznej części do Polski. Skłania to do lekceważenia zagrożenia, które w niewielkim stopniu tylko dotyka własnego terytorium. Głównym źródłem energii w NRD jest niestannie węgiel brunatny o dużej zawartości siarki, w większości spalany bez jakiegokolwiek uszlachetniania. Emisja szkodliwych substancji w spalinach rośnie, jakość stosowanego węgla spada, a nieliczne zakłady przetwórcze paliw praktycznie nie są rozbudowywane. Jednocześnie trwa urzędowy optymizm. Odrzuca się nawet raporty ONZ określające obszar NRD jako najbardziej zanieczyszczony fragment Europy. Rozziew między faktycznym stanem zanieczyszczeń a obrazem oficjalnym jest tu szczególnie wielki. Już w 1980 r., wedle źródeł NRD, 12% lasów uległo zniszczeniu wskutek zanieczyszczenia powietrza, obecnie niektóre szacunki mówią o chorobie 86% lasów NRD.

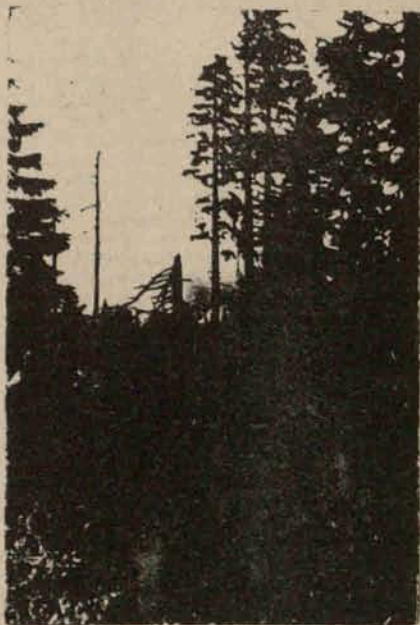
ŚRODOWISKO W EUROPIE BEZ GRANIC

cząc trzeba jedynie spalić z kotłów przemysłowych, gaz z hut aluminium, przemysłu petrochemicznego i siarkowego. Wszystkie te źródła łącznie odpowiadają elektrowni o mocy 1430 MW. Walka o atmosferę bez siarki dla Norwegów oznacza starania dyplomatyczne, gdyż zanieczyszczenia tego rodzaju napływają z innych krajów. Czysta energetyka powoduje natomiast nieco formalne problemy ze związkami azotu. W krajach wysoko rozwiniętych głównym ich źródłem, najtrudniejszym przy tym do opanowania, jest motoryzacja. W Norwegii - bez palenisk elektrowni - źródłem praktycznie jedynym. W tych warunkach trudno zapewnić wymagane konwencjami międzynarodowymi ograniczenie emisji NO_x.

Norwegia uzyskuje swe doskonałe wyniki dzięki warunkom geograficznym. Najpoważniejsze wysiłki gospodarcze podjęto natomiast w RFN. W 1983 r. zaczęły tu obowiązywać nowe przepisy określające normy emisji, pozostawiające właścicielom elektrowni zaledwie 5 lat na dostosowanie zakładów do znacznie szerszych wymagań. Prace modernizacyjne zostały zakończone zgodnie z założeniami programu. Do 1.07.1988 r. w instalacje odsiarczające i odzotowujące wyposażono większość istniejących elektrowni o mocy powyżej 110 MW, łącznie kilkaset bloków o mocy 37 GW. Ilość wysyłanego przez nie do atmosfery dwutlenku siarki zmniejszyła się trzykrotnie. Nie przebudowano tylko bardzo starych elektrowni o łącznej mocy 12 GW, przeznaczonych do likwidacji przed 1993 r. i pełniących obecnie funkcje pomocnicze. Do 1.04.1993 r. programem oczyszczania spalin zostanie objęta kolejna kategoria kotłów, ponad 400 bloków o mocy od 35 do 110 MW, a pomiarami zanieczyszczeń także wszystkie paleniska przemysłowe o mocy większej niż 18 MW. Inwestorzy nie tylko zmagają się przy tym z instalowaniem dodatkowych urządzeń do oczyszczania spalin, lecz także są odpowiedzialni za składowanie odpadów powstających ze związania szkodliwych substancji. Z tego powodu w większości elektrowni zdecydowano się na wytworzenie gipsu. W 1998 r. powstało go 2,5 mln Mg, a po wprowadzeniu odsiarczania w mniejszych elektrowniach i kotłach przemysłowych będzie go zapewne znacznie więcej. Jeśli nawet część gipsu, pochodzącego z elektrowni opalanych węglem brunatnym, nie nadaje się do normalnych zastosowań ze względu na dużą zawartość wtrąceń mineralnych z popiołów, to i tak elektrownie są poważnym konkurentem dla klasycznego przemysłu materiałów budowlanych. Ponieważ grozi nasycenie rynku i konieczność wyrzucenia użytecznego, pełnowartościowego produktu, badane są także inne metody odsiarczania, prowadzące do powstania anhydrytu lub nawozów azotowych.

Holandia zaadaptowała metody opracowane w RFN, modyfikując jednak wymagania stawiane sta-

żaskakujący przykładem może być choćby Wielka Brytania. W tym kraju jeszcze w 1986 r. wydano zgodę na budowę elektrowni opalanej węglem o dużej zawartości siarki nie wymagając odsiarczania. Ma to być jednak ostatni tego rodzaju wypadek, dalsze planowane obecnie państwowe elektrownie będą już wyposażone w odpowiednie instalacje.



Na Śnieżniku

Prawdziwe problemy zaczynają się jednak w naszej części Europy. Powszechny kryzys ekonomiczny sprawia, że brakuje środków na skuteczne działania zastępowane najczęściej deklaracjami i propagandowymi gestami. W stosunkowo najlepszej sytuacji jest Bułgaria. Względnie duży udział energetyki jądrowej, szerokie zastosowanie ropy i gazu jako paliw sprawiają, że jest to jeden z nielicznych krajów RWPG, który ma szansę wypełnić zobowiązania konwencji o ograniczeniu emisji. Podobną strukturę zużycia paliw mają Węgry, którzy z dodatku eksportują znaczną część swoich zanieczyszczeń. Prawdziwie katastrofalna sytuacja panuje natomiast w Czechosłowacji. Opad związków siarki, zarówno z własnych źródeł, jak i przyniesionych przez zachodnie wiatry od sąsiadów, sięga 23 Mg/km² rocznie. Następna w tej konkurencji NRD zbiera 16 Mg/km², dalsze miejsca zajmują: Belgia

Jednocześnie czynniki oficjalne zaprzeczają nie tylko istnienie chorób lasów, lecz nawet występowanie na terenie NRD kwaśnych deszczów. Nieliczne inwestycje służące ochronie środowiska, takie jak instalacja odsiarczająca systemu Wellmana Loda w elektrowni w Berlinie, są natomiast szeroko reklamowane. Niestety, walka z faktami lub podejmowanie działań magicznych nie mają najmniejszego znaczenia w ochronie środowiska. Dla jego ratowania potrzebne są co prawda ogromne pieniądze, lecz bez tych nakładów już wkrótce życie stanie się niemożliwe.

Małgorzata Zagrzejska

Wielisławka 90

Od 1977 r. Zarząd Oddziału PTTK w Złotoryi wraz z Radą Wojewódzką LZS w Legnicy organizuje rajd rowerowy "Wielisławka" na trasie Złotoryja - Sępów - Rożana - Wielisławka - Jerzmanice-Zdrój - Złotoryja (30 km). Rajd ten cieszy się popularnością wśród członków Sekcji Turystyki Rowerowej "Helios" i uczniów szkół podstawowych w Złotoryi. Szkoda, że nie bierze udziału w tej imprezie młodzież z okolicznych wiosek (Pielgrzymka, Nowy Kościół, Świerzawa). Należy takie imprezy więcej propagować i w mieście, i na wsi. W naszym województwie za mało jest sekcji młodzieżowych turystyki rowerowej. Na tym odcinku jest wiele do zrobienia. W najbliższym czasie należy zorganizować sekcje turystyki rowerowej we wszystkich miastach i większych gminach. Podczas pobytu w "Wielisławce" zorganizowano gry zręcznościowe, ringo, rzutki, zółwia jazda i wędkowanie. Wszyscy byli zadziwieni z udanej imprezy, choć pogoda nie była nadzwyczajna. O swych przygodach rowerowych przy ognisku opowiadał Henryk Stachowski, który w ciągu ostatnich 17 lat przejechał na rowerze ponad 90 tys. kilometrów, między innymi był też w Czechosłowacji i NRD oraz zwiedził 45 województw na swoim "wehikule". Na zakończenie wszyscy uczestnicy Rajdu otrzymali książki i drobne upominki ufundowane przez Radę Wojewódzką LZS w Legnicy.

Ryszard Jaźwiński

Parki, zanieczyszczenia i ludzie

Wszelobocne zanieczyszczenie środowiska przyrodniczego ogarnia w coraz silniejszym stopniu także tak cenne jego obszary, jakimi są parki narodowe. Dlatego też Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody (IUCN) postanowiła przy współpracy UNESCO i dyrekcji czeskiego Karkonoskiego Parku Narodowego (KRNAP) zorganizować specjalną konferencję na ten temat, a pod powyższym tytułem. Odbyła się ona 3-9.06.1990 r. w ośrodku ROH "Horal" w Sv. Petrze, górnej części Szpindlerowego Młyna (Czechosłowacja), a więc w południowej części Karkonoszy. Przybyło na nią blisko 150 osób z całej Europy, nadto z Kanady, Indii, Australii i Stanów Zjednoczonych. Z krajów post-socjalistycznych najlepiej były reprezentowane ZSRR i Polska (9 osób), przy czym także PTTK wysłało swoją delegację z uwagi na szczególną rolę, jaką odgrywają takie obszary chronione w polskiej turystyce. Byli to Kazimierz Kaliszuk - szef SOP w PTTK, Marek Staffa - przewodniczący KTG ZG PTTK i niżej podpisany - wiceprezes Towarzystwa, profesjonalnie związane z tą tematyką. Dodać do tego trzeba także Czesława Okołowa, również działacza PTTK, choć delegowanego w ramach grupy Ministerstwa Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych.

Zainteresowanie to można choćby uzasadnić szczególnie destruktywnym oddziaływaniem strony czeskiej na tereny polskie. Otóż o ile z północy, z Polski, napływa do Czechosłowacji 194 000 Mg siarki rocznie, to w odwrotnym kierunku dociera aż 365 000 Mg. Podobne relacje kształtują się w przypadku również groźnych związków azotowych: 51 000 Mg z Polski i 84 000 Mg do Polski. Natomiast jeśli chodzi o czeskie Karkonosze, to napływająca tu w powietrzu siarka pochodzi w 21,8 % z Łużyc w NRD, 18,5 % z elektrowni "Hirsch-

felde" (koło Żytawy w NRD) i "Turów" koło Bogatyni, w 3,8 % z Bełchatowa i 1,2 % z Wałbrzycha. Reszta zaś, czyli ponad 54 %, nawiewana jest z zachodnich i południowych krajów ościennych. Takie stężenie SO₂ w powietrzu, prowadzące do powstawania zjawiska kwaśnych deszczów o pH 2,7 na Szrenicy (europejski rekord!), prowadzi do zagłady lasów karkonoskich, o czym uczestnicy mogli się naocznie przekonać podczas szczegółowej wycieczki terenowej przez Labską boudę. Wypowiedzi natomiast i referaty wskazywały zgodnie na unikatowość przyrodniczą Karkonoszy w skali kontynentu. W tym świetle pojawiające się czasami głosy o szczególnym zagrożeniu ze strony turystyki nie brzmiały przekonująco, choć rzeczywistość po stronie południowej zagospodarowanie rekreacyjne, w tym budownictwo, wdiera się masowo w głąb gór. Również po polskiej stronie wywiera się presję na dyrekcję KPN, by "ustąpiła" ona nieco obszaru, i tak przecież nadzwyczaj skromnego, bez otuliny w dodatku, na rzecz boju budowlanego w Karpaczu czy Szklarskiej Porębie. Wyrazem stanowiska konferencji stała się rezolucja, skierowana do rządów Czechosłowacji i Polski co do potrzeby współpracy w ochronie Karkonoszy i wspólnego doprowadzenia do ustanowienia tu rezerwatu biosfery, a więc najwyższej formy ochrony światowej.

Dwa ostatnie dni poświęcono spotkaniom komisji IUCN: parków narodowych i edukacyjnej, w których nasi przedstawiciele wzięli bardzo aktywny udział. Warto tu wspomnieć, że podczas niedawnej wizyty na Węgrzech prezydent amerykański George Bush obiecał ufundować w Budapeszcie ośrodek ekologiczny, który prowadziłby szkolenie i prace w zakresie ochrony środowiska dla Europy Środkowej i Wschodniej. Zapoznano się też z ośrodkami informacyjnymi i muzeami KRNAP w Szpindlerowym Młynie i Vrchlabi. Można mieć nadzieję, że wyjazd ten przysłuży się pogłębieniu zainteresowania omawianą problematyką w PTTK oraz ustaleniu roboczych kontaktów z różnymi krajami, gdyż zagrożenie to ma wymiar w pełni globalny.

Krzysztof R. Mazurski

IV Rajd z Krokusem

Już po raz czwarty odbył się Wojewódzki "Rajd z Krokusem" Młodzieżowych Klubów Trzeźwości z woj. legnickiego, w którym wzięło udział 50 osób reprezentujących Lublin i Legnicę.

Impreza trwała trzy dni w Złotorzy, Wojcieszowie i Radzinowie. Najciekawsze było spotkanie z grupą terapeutyczną Oddziału Odwykowego w Radzinowie. W dyskusji podkreślano szkodliwość używania narkotyków i nadużywania alkoholu przez młodych. Sprawa profilaktyki w dziedzinie zwalczania narkomanii i alkoholizmu to zasadnicze zadanie dla władz samorządowych i Klubów Trzeźwości. Należy nasilić walkę z tą wielką plagą społeczną w Polsce. Do tej akcji powinni włączyć się w szerszym zakresie organizacje społeczne, a przede wszystkim Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz dyrekcje szkół.

W drugim dniu imprezy młodzież odbyła wycieczkę pieszą w Góry Kaczawskie, podziwiając piękno i urok okolic Wojcieszowa i Kaczorowa. Zorganizowano ponadto kilka konkursów. W turystycznym zwyciężyła Aleksandra Słupska, a w zręcznościowym - Sebastian Słojka (oboje z Lublina).

Na zakończenie wręczono dyplomy i nagrody rzeczowe, ufundowane przez Społeczny Komitet Przeciwalcoholowy i Zarząd Oddziału PTTK w Złotorzy dla uczestników tej udanej imprezy. Szkoda, że nie brały udziału Młodzieżowe Kluby Trzeźwości z Głogowa, Jawora i Złotorzy. Piąty rajd - za rok, też w maju.

Ryszard Jaźwiński



Wodospad Szklarski

Pożegnanie Zygmunta

Z głębokim żalem pożegnaliśmy 10 maja br. nestora turystyki i krajoznawstwa woj. wałbrzyskiego Zygmunta Jodłowskiego.

Odszedł od nas człowiek, który od pierwszych dni po przybyciu i osiedleniu się w Szczawnie-Zdroju w 1947 r. z pasją i uporem działał w kierunku uruchomienia turystyki i krajoznawstwa na Ziemiach Odzyskanych. Już 16.05.1947 r. dzięki staraniom grupy zapaleńców utworzony został Oddział Dolnośląskiego Związku Popierania Turystyki. Zygmunt był członkiem jego Zarządu.

Z wielką kulturą i wyczuciem społeczno-politycznym ówczesnych czasów organizował wypady dla osiedleńców miasta i okolic w dziewicze jeszcze wtedy góry Wałbrzyskie, Sowie, Kamienne. Brał udział w wyznaczaniu szlaków turystycznych, prowadził propagandę na rzecz zwiedzania Dolnego Śląska, organizował odczyty i prelekcje.

Uczestniczył też w opracowaniu polskich nazw gór i rzek okolic Wałbrzycha. Z inicjatywy działaczy Oddziału DZPT w tym samym 1947 r. powstał Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, a w rok później - Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. W 1951 r., po połączeniu PTT i PTK w PTTK, Zygmunt z zaciętością i uporem organizował turystykę kwalifikowaną i przewodnictwo. Temu upodobaniu wierny pozostał do ostatnich dni swego życia. Był m.in. przewodnikiem i kl., przodownikiem GOT, instruktorem szkolenia kadr PTTK, społecznym opiekunem zabytków i strażnikiem ochrony przyrody.

W 1975 r., po podziale terytorialnym kraju, zorganizował Zarząd Wojewódzki PTTK. Został jego urzędującym członkiem - Sekretarzem. Po przejściu na rentę, a później na emeryturę, związał się ponownie z Oddziałem PTTK w Wałbrzychu, gdzie pełnił przez trzy kadencje funkcję wiceprezesa. Ostatni Zjazd w 1989 r. powierzył Mu funkcję Skarbnika.

Za długoletnią, bezprzykładną, społeczną działalność uhonorowany został licznymi tytułami i odznaczeniami, w tym Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1986), Krzyżem Zasługi Srebrnym (1967) i Złotym (1978), Złotą Honorową Odznaką PTTK (1965) i Złotą Odznaką "Zasłużony Działacz Turystyki" (1974). Ostatni, XII Zjazd Krajowy PTTK przyznał Mu Tytuł Członka Honorowego PTTK. Choroba nie osłabiła Jego zainteresowania sprawami, którymi żyje środowisko turystyczne kraju i Wałbrzycha. Przekazywał jeszcze swoje uwagi i refleksje na temat Statutu i Zjazdu. Wspierał doświadczeniami i pomagał młodszym kolegom organizującym "jego" 29 Rajd Ułanów Legii Polsko-Włoskiej, którego był pierwszym organizatorem. Zaskarbił sobie wśród turystów wielu przyjaciół, którzy z nieutulonym żalem towarzyszyli mu w ostatniej drodze na miejsce wiecznego spoczynku. Spoczął na małym cmentarzu w Szczawnie-Zdroju, z widokiem na góry, które tak mocno ukochał.

Zofia Sikora

Schronisko na Przehybie położone jest w Beskidzie Sądeckim - paśmie Radziłowej na wysokości 1175 m n.p.m. Zbudowane zostało w latach 1954-1958 na miejscu zniszczonego w okresie okupacji hitlerowskiej schroniska Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Po remoncie przeprowadzonym w ostatnich okresie zyskało parę pokoi noclegowych, nową wystrój wnętrz, dodatkowe urządzenia sanitarne i obecnie dysponuje 77 miejscami noclegowymi. Obiekt wyposażony jest w centralne ogrzewanie, bieżącą ciepłą i zimną wodę, metryki oraz energię elektryczną z sieciową.

„Obóz narciarski Przehyba”

Doskonałe tereny do uprawiania narciarstwa zjazdowego jak również narciarstwa śladowego. Rozciągające się gładziście grzbiety górskie pozwalają na dalekie spacery z możliwością podziwiania wspaniałych widoków na Kotlinę Sądecką, Beskidy, Tatry Wysokie, Bielskie i Zachodnie. Przy dobrej pogodzie widoczne są również Nizne Tatry położone w głębi Słowacji. Przy schronisku czynny jest wyciąg narciarski telerazowy dł. 300 m, różnica poziomów 51 m. Obozy narciarskie organizowane w naszym schronisku mają na celu propagowanie turystyki narciarskiej po - przez naukę prawidłowej jazdy na nartach, aktywnego wypoczynku w nie zjeżdżonej ciszy gór, kontaktu z przyrodą w zimowej szacie. Opis poszczególnych turnusów umieszczony jest w "Programie imprez turystyczno - wypoczynkowych na rok 1991" organizowanych przez nasze schronisko, a rozesłany do wszystkich oddziałów PTTK.

W celu otrzymania skierowania na obóz narciarski należy:

- uzgodnić pisemnie lub telefonicznie wybrany turnus, zarezerwować miejsce, podać własny adres do korespondencji
- dokonać wpłaty należności przekazem pocztowym na adres:

Schronisko PTTK na Przehybie
33-388 Gołkowice

tel./0-18/ 213-90 Nowy Sącz
lub na konto bankowe OZGT PTTK w BPH 0/Nowy Sącz nr 324803 - 1300 z dopiskiem "Obóz Narciarski"

Po załatwieniu tych niezbędnych formalności - przedłożyć na nasz adres skierowanie, które będzie podstawą do uczestnictwa w obozie.

Kierownik Schroniska
PTTK na Przehybie

JAN BIELAK



SCHRONISKO PTTK NA PRZEHYBIE



Pod koniec zeszłego roku otrzymałem z Polski czwarte wydanie mapy Gór Bystrzyckich. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, nawet i to, że poprzednie 3 wydania jakoś uszły mojej uwadze, gdyby nie fakt, iż mój "sokół wzrok" powędrował do kwadratu C3 mapy i... zaniemówiłem! Nad Bystrzycą zwaną czasem Łomnicką, figuruje znak i nazwa - Schron "Adamówka". I zaraz pamięć przywołała to piękne lato 1968 r., kiedy byłem Pełnomocnikiem ZSP na Ziemię Kłodzką. Studenckie obozy wędrownie w Sudetach organizował wtedy ALMATUR, a obsługiwali je przewodnicy z Koła Przewodników wrocławskiego AKT. Do moich obowiązków należało kontrolowanie działalności "zdrojowych" baz studenckich w Łądku i Kudowie oraz nadzorowanie przebiegu i rozliczanie po zakończeniu - turnusów obozowych. Jeden z lipcowych turnusów prowadził Adam Zurek. To właśnie on zaprowadził nas do nieznannej wówczas szerzej chatki położonej pięknie w Górach Bystrzyckich na lewym brzegu Bystrzycy. Szczególną owacją studentów wywołał drewniany "kibel" stojący sobie po drugiej stronie potoku, bez zadania pod... gołym niebem! Wieczorem, studentka warszawska SGPiS, Krystyna Górską, zaproponowała, aby upamiętnić odkrycie tej chatki dla środowiska akademickiego nadając jej nazwę od imienia naszego przewodnika. I tak już zostało! Nazwę roznieśliśmy w pierw po bazach, a

Radość i smutek odkrycia

następnie w całym wrocławskim środowisku studenckim. Dodam tylko, że my nazywaliśmy "Adamówkę" - chatką, a nie schronem.

Oповідziana historia miała też swoje punkty: dalszą i bliższą. Czy mogłem wtedy przypuszczać, że za niecały rok Krystyna zostanie moją żoną i los umieści nas na długie lata nie w ukończonych Sudetach, lecz w Górach Świętokrzyskich, a potem rzucił aż na drugą stronę Ziemi do Wielkich Jezior?

Tymczasem zbliżał się wieczór. W nocy złapała mnie gorączka i dreszcze. Zbudziłem się nad ranem. Głowa płonęła i huczała, wyszedłem przed chatkę. Było koło czwartej - awitało... Zaczynał się nowy dzień: 20. sierpnia 1968 r. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to huczy niebo, a nie moja nieszczęsna głowa! Na niskim pułapie leciało stado "ciemnych ważek" - ciężkich wojskowych śmigłowców transportowych. Z chatki wyszły następane osoby. W lot pojęliśmy co się stało, chociaż nie wiedzieliśmy jeszcze KTO. Po południu obóz wrócił z lekarstwami dla mnie z wycieczki do Polanicy. Bez słowa podano mi "Gazetę Robotniczą", w której na pierwszej stronie zamieszczono komunikat o "bratniej pomocy" dla Czechosłowacji.

Nazajutrz odchodziliśmy z chatki w milczeniu. Odeszła cała radość...

Jerzy K. Bieńkowski (z Detroit)

NOWE POMNIKI WROCŁAWIA

W końcowej fazie radzieckiej operacji "Wista-Odra", w styczniu 1945 r., Wrocław znalazł się na linii frontu. Już od pierwszych dni oblężenia sprawą pierwszoplanową dla niemieckiego dowództwa "Festung-Breslau" stało się zapewnienie dostaw amunicji i żywności, a także ewakuacja rannych drogą powietrzną. Początkowo linię frontu starano się utrzymać w znacznej odległości od istniejących lotnisk położonych na zachodnich przedpolach miasta. Szybko jednak okazało się, że jest to niemożliwe.

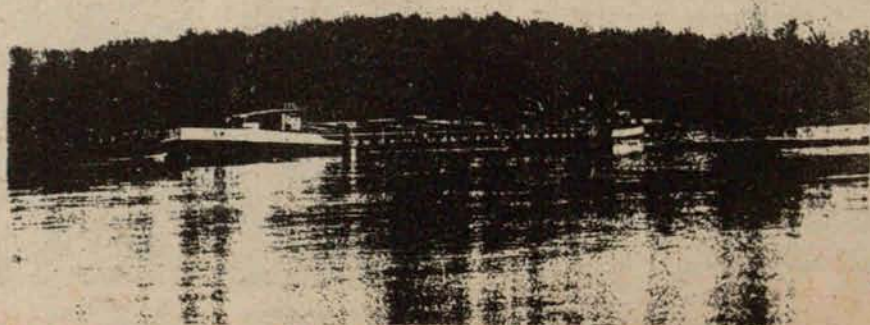
20 lutego Niemcy utracili lotnisko strachowickie, a 1 kwietnia - Gądów. Wcześniej lądowiska te były pod ostrzałem radzieckiej artylerii naziemnej. Ograniczenie możliwości wykorzystania lądowisk do godzin nocnych powodowało znaczne straty.

Już 23.02.1945 r. zapada decyzja wybudowania wewnątrz "twierdzy" dodatkowego (zapasowego) lotniska. Dowódca obrony "Festung-Breslau" gen. Herman Niehoff wydał więc 6 marca rozporządzenie wykonawcze, w myśl którego zburzono gęsto zabudowaną dzielnicę mieszkaniową w rejonie dzisiejszego pl. Grunwaldzkiego pomiędzy mostami Szczytnickim i Grunwaldzkim. Była to jedna z ładniejszych dzielnic miasta z dwoma kościołami, klasztorem, budynkami uczelniami i 160-200 domami mieszkalnymi. Do pracy zagoniono ludność cywilną - przymusowych robotników cudzoziemskich - więźniów obozów pracy, m.in. z ul. Hauke-Bosaka, Pomorskiej i Sołtysowic. Najliczniejszą grupę stanowili Polacy - ludzie ze znakiem "P". Ginęli oni pod bombami ostrzeliwanego Wrocławia, odnosili rany. Katorżniczą pracę wykonywało 10-13 tysięcy ludzi.

Powstał pas startowy, który miał umożliwić lądowanie i start samolotów, w tym ciężkich transportowych Ju-52. Wysilek i męczeństwo budowlanych (do momentu kapitulacji - 6.05.1945 r.) nie został uwieńczony pełnym sukcesem, mimo to z powstałego lądowiska prawdopodobnie wystartował samolot. Uciekał nim gaulajter Hans Frank... I raz jeszcze przypuszczenie - niektóre źródła podają, że ów samolot rozbił się pod Świdnicą.

W niedzielę, 6.05.1990 r., z okazji 45 rocznicy powrotu miasta do Polski, na pl. Grunwaldzkim, tuż koło Mostu Szczytnickiego, prezydent Wrocławia, Stefan Skąpski odsłonił pomnik powstały z inicjatywy Klubu Ludzi ze Znakiem "P" Towarzystwa Miłośników Wrocławia. Jego projektantem jest doc. Marian Barski, dziekan Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej, a wykonał go bezinteresownie Andrzej Bojarszewski.

PAJ



Na Dłuzce pod Wrocławzyskiem



W czasopiśmie Kłodzkiego Towarzystwa Górskiego o tytule "Die Grafschaft Glatz" (1912) architekt Bruno Wiegand, ówczesny inspektor budownictwa całej Ziemi Kłodzkiej, umieścił swe wazki, lecz krótkie opracowanie na temat charakterystycznego kłodzkiego budownictwa zrębowego i zrębowo-szachulcowego, piętrowego, z rysunkami najbardziej typowych obiektów. Niektóre przetrwały do lat pięćdziesiątych naszego stulecia, choć najcenniejsze z nich, jak w Dusznikach-Zdroju, parterowy dom zrębowy i piętrowy zrębowo-szachulcowy oraz także w Kłodzku uległy zniszczeniu. Proboszcz obecnego Domaszkowa wydał przed wojną i tom swej bardzo bogatej w ilustracje pracy dotyczącej hrabstwa kłodzkiego, gdzie umieszcza po krajoznawczo-widokowo-drewnianych domów chłopskich. Ażilście w latach sześćdziesiątych doliczyłoby się tych obiektów budownictwa ludowego już tylko 30! Niektóre z nich i drewniana kaplica dworzyszłowa z 1799 r. miały być przeniesione do skansenu projektowanego uchwałą PRN w Bystrzycy Kłodzkiej, a zatwierdzone we Wrocławiu w 1969 r., na terenie Starej Morawy. Z budownictwem tym wiązało się na Ziemi Kłodzkiej dość dużo oryginalnego budownictwa śląskiego. Do końca pobytu tułuszych gospodarzy nazywano drewniane dwory chłopskie chałupami (w wymowie - kalupen), ich zaś mieszkańca - "chałupiarzem" - kalupner. Jeśli nie miał roli i zmuszony był zarabiać, zwano go "robotem". W Łątku Zdroju łańcuch chłopski zwany z niemlecka "Timpel für Roboter". Zresztą każdy żyjący z fizycznej pracy na roli był takim robotem, odywającymi swą Robotdienst - "służbę robotnika rolnego" (w słowniku berlińskim z 1899 r. Augusta Mosbacha - pańszczyzna to... robot i pańszczyźniany to robotofflichtig). Natomiast pomoc sąsiedzka zwana się w Kłodzkiem "Gromad-arbeit".

Zabudowa domostwa drewnianego, potem, od 2 połowy XIX w. murowanego i ceglano, miała zwyczajnie w Słowiańszczyźnie jedno wspólne krycie, dach: od drogi, ulicy, od tzw. strony szczytowej pomieszczenie rodziny gospodarza z paleniskiem pod kapą, stanowiące właściwą "kalupę", następnie poza sienią na przestrzał z "kuminem" - pomieszczenie drobiu i bydła. Stąd połączona była drzwiami stodoła - "Stadel", z niezbędnym klepiskiem i sąsikiem. Dalej za stodołą, ale przy niej, wznosiła się wozownia dla wozu czy sań, z "plugradel", czyli drewnianym piugiem. Dwa ostatnie pomieszczenia stawiano przeważnie na łątkę i sumki.

Ze sprzętarstwa czy narzędzi, prócz wymienionego plugradel, używano tu nazwy Nosidel, tj. nosiśła (na wodę). Polewkę zwano "Poleke", nóż (do chleba) "Nusche". Poza tym nie tylko Gerhardt Hauptmann słyszał tu... "schisko-jeno" (wszystko-jedno).

Z tułuszych wierzeń na uwagę zasługuje w opowiadaniach, a zapisana przez wymienionego już Aelulusa (rodem z Żabkowic Śląskich) oraz Wedekinda (z Nowej Rudy) w 1855 r. - "polska Wanda" na zamku (grodzle) kłodzkim. U miejscowego ludu nosiła ona do ostatnich lat jego tu pobytu dwa tradycyjne, ludowe imiona. Jedno z nich - "Walska", zapisywane literacko w formie Valeska lub Valiska - z akcentem na początku słowa i z miękko wymawianym "i": jako druga część dwuczłonowego wyrazu - Zaitowalska - prastowiańska "Złotowoska". Drugie zaś w pełnej jego postaci - "Ludomila", zapisywana Ludomilla = "młda dla ludu". Inne opowiadania dotyczą Wenedy zapisywanej bez "w" - więc Eneada. Jedna z nich miała być córką Panewiców na zamku (rycerskiej wieży mieszkalnej w Starej Łomnicy), druga zaś córką rycerza na grodzle granicznym u przejścia przez "Miedzowe" Góry. Pierwsza miała się odnosić do czasów jeszcze pogarskich, miała się odnosić do XII-XIII w. Dla zasynnizowania już tylko jednego z ważniejszych faktów, dotyczących słownictwa i tradycyjnej kultury ludowej Ziemi Kłodzkiej, dodać można jeszcze na koniec znany tutaj, jak gdzieś indziej w Polsce, np. w Rzeszowskim, zwyczaj. Przy wynoszeniu umarłego z mieszkania stukano trumną o próg domu i wypowiadano pożegnanie w jego imieniu: "ostancie z Bogiem".

ZBYGNIEM MARTYNOWSKI

Wydawniczy przednówek

Przednówek zwykle bywa trudny, ale dla czytelników było niezłe, choć ciężko jest i wydawnictwom, które z braku popytu ograniczają produkcję, zrywają umowy z autorami, posucha. Dlaczego tak się dzieje? Ano, brak pieniędzy w naszych kieszeniach, jeszcze przeżywamy szok po noworocznych szalonych podwyżkach, książek też. Odstraszają od nich częstokroć pośrednicy, którzy chcą szybko, bez żenady napchać swoje kiesy. Ot, jedna z nowości, które chcą tu zasynnizować, jedna z kilku z końca lutego i marca. Zupełnie nowy przewodnik B. W. Szarka "Kotlina Jeleniogórska" (Wydawnictwo PTTK "Kraj") można we Wrocławiu kupić za niecałe 3000 zł, a w Jeleniej Górze... za 5000 zł! I przez to oficyna jest zagrożona plajtą, bo chętnych brak, koszty rosną i kolo się zamyka. Co robić? Po prostu kupować bezpośrednio u wydawców, którzy sprzedają pozycje (oczywiście w większych ilościach) po cenach zbytu. Podobnie dzieje się z wydawnictwem "Sport i Turystyka", które na przygotowanych kilka pozycji z naszego regionu, ale wstrzymują ich druk, bo handel nie zamawia, ceny poligrafii rosną, nakład się obniża, koszty rosną i tak da capo al fine, czyli wkoło Wojtek. Skoro byliśmy przy "Kraju". Zwracam uwagę na starannie, choć może nie olśniewająco (ale co za koszty byłoby wtedy!) wydaną pozycję z serii "Parki narodowe i krajobrazowe", pierwszą z naszego terenu. Jest to "Książkański Park Krajobrazowy" z ilustracjami niektórych okazów i niezłymi mapkami okolic. Bardziej wyrafinowanych znawców regionu ucielesy zapewne trzecia część cysterskiej trylogii Alojzego Dudka "Cystersi na Dolnym Śląsku", wydana... Ano właśnie, przez kogo? Domyśliłyśmy się, lecz wielka szkoda, że żadna instytucja (choć wiemy, że spośród PTTK) nie uwieczniła się na stronie tytułowej. Ile to kłopotu sprawi bibliotekarzom, bibliografom! Szkoda, że o nich nie pomyślano. Wstydzimy się swojej pracy? Chyba niepotrzebnie, bo poziom poligraficzny jak na tego typu rzecz zupełnie przyzwolny, a i przeciwników ideologicznych już nie ma. Czyżby trzeci obieg?

Warto sięgnąć po "Sekrety Białej Damy" A. Koniecznego (Śląski Instytut Naukowy), które wyszły w serii "Śląskie epizody historyczne". Książeczka niewielka, ale przynosząca sporą faktografię, napisana przy tym lekko i nawet momentami intrygująco. W tym właśnie rzecz. Autor przedstawia tu na kanwie losów słynnej, pięknej, lecz pod koniec życia wrogo usposobionej do górnośląskich Polaków księżnej Dalsy, schyłek świetności jednego z najstarszych i najznakomitszych rodów Śląskich - Hochbergów, którzy wybili się do grona arystokracji dzięki życzliwości Bolka II świdnickiego. Władali na przełomie XIX i XX w. ogromnymi majątkami Książ i Pszczyna. Wszyscy więc, którzy interesują się naszym wspaniałym zamczyskiem, muszą książeczkę przeczytać (jest nawet tania - we Wrocławiu za jedyne 600 zł).

Jest też wreszcie coś dla... dzieci! Tak, mówimy sporo o wychowaniu regionalnym, ale do dyspozycji mamy tylko grubasne lub nader mądre publikacje dla dorosłych. Wyłomem był zbiór "Legenda Karkonoszy i okolic" U. A. Włacków (1984), teraz zaś otrzymaliśmy komiks "Bitwa pod Legnicą" z tekstem B. Gompzara i rysunkami P. Mityry (KAW Wrocław 1990). Zupełnie niezłe, zgodne z aktualną wiedzą historyczną (choć z samą śmiercią Henryka II sprawa jest nadal niejasna), znakomicie nadające się do szerokiej popularizacji historii regionu od samego dziecka. Bo też już wkrótce 750-lecie bitwy, o czym tak ciekawie pisał u nas Mirosław Przyłęcki. Warto publikację wykorzystać.

Krzysztof B. Mazurski



Aleksander Lwów

"WYBRALEM GÓRY (Z Sudetów w Himalaje)"

Nakładem Redakcji Wydawnictw Górskich i Narciarskich, Wydawnictwa PTTK "Kraj" w Krakowie ukazała się we wrześniu 1990 r. książka znanego wrocławskiego taternika i himalaisty Aleksandra Lwowa pt. "Wybrałem góry (Z Sudetów w Himalaje)".

Autor był uczestnikiem licznych wypraw himalajskich i jest zdobywcą trzech szczytów ośmiotysięcznych: Lhotse (8516 m), Cho Oyu (8201 m) i Manasu (8163 m). Brał też udział w wyprawie, która pierwszą raz w zlimie zdobyła najwyższy szczyt świata Mount Everest (8848 m).

Na stukilkudziesięciu stronach swej książki zawarł wspomnienia z alpinistycznego życia, od wspinaczek skałkowych w sudeckich Rudawach Janowickich, poprzez wyprawę w Hindukusz po wyprawę w najwyższe góry świata - Himalaje.

W "Postulowiu" opisuje również ostatnią tragedię polskich himalaistów na stokach Mount Everestu w 1989 r.

Uzupełnieniem książki jest Aneks zawierający pełne listy polskich wejść na szczyty ośmiotysięczne, listę rankingową i kalendarz wypraw.

Okładkę książki zdobi barwne zdjęcie K2 (8611), drugiego co do wysokości szczytu świata. Na wkładce umieszczone jest dalsze kilkanaście fotografii ilustrujących opisywane wyprawy, a w tekście znajdują się mapki i szkice panoramiczne z wejść himalajskich.

Zachęcamy do lektury tej ciekawie napisanej książki, która powinna zainteresować nie tylko miłośników gór.



HARMONOGRAM DZIAŁALNOŚCI

Szkoły Górskiej Przewodników PTTK na 1991 r.

- Obozy narciarskie - szkolenia narciarskie dla początkujących i średnio zaawansowanych narciarzy. Styczeń: 7 - 13, 21 - 27; luty: 18 - 24; marzec: 4 - 10, 11 - 17, 21 - 27; kwiecień: 1 - 7. Przewidywana ilość osób na jednym kursie: 20 osób. Koszt na 1 osobę - 322920 zł.
- Szkolenie podstawowe (wspinaczkowe) z zakresu bezpieczeństwa - zima. Styczeń: 14 - 20, 24 - 30; luty: 1 - 7, 20 - 26; marzec: 1 - 7, 8 - 14; kwiecień: 4 - 10. Przewidywana ilość osób na jednym kursie: 15. Koszt na 1 osobę - 432600 zł.
- Szkolenie z zakresu ski-alpinizmu. Luty: 11 - 17; marzec: 18 - 24. Przewidywana ilość osób na jednym kursie: 18. Koszt na 1 osobę - 373560 zł.
- Szkolenie lawinowe. Kwiecień: 5 - 7. Przewidywana ilość osób na jednym kursie: 22. Koszt na 1 osobę - 106140 zł.
- Szkolenie wspinaczkowe-specjalistyczne - lodowe. Luty: 8 - 14. Przewidywana ilość osób na 1 kursie: 15. Koszt na 1 osobę - 432600 zł.
- Szkolenie wspinaczkowe II stopnia (lato). Lipiec: 1 - 7; sierpień: 5 - 10; wrzesień: 23 - 29. Przewidywana ilość osób na 1 kursie: 16. Koszt na 1 osobę: 432600 zł.
- Międzynarodowe Zawody Przewodników Górskich. Wrzesień: 27 - 29.

Uwaga:

- Przyjęcia na kursy wg kolejności zgłoszeń, które należy nadsyłać na adres: Szkoła Górskiej Przewodników ZG PTTK, ul. 1 Maja 73, 50-540 Karpacz (tel. 711).
- Wpłaty należy dokonywać na konto Szkoły - PKO Karpacz, nr konta 23663-1081-132.
- Sluchacze kursu wymienionego w poz. 1 powinni posiadać własne buty narciarskie, pozostały sprzęt narciarski - narty, kijki, zapewnią Szkoła. W przypadku posiadania kompletnego sprzętu narciarskiego koszt kursu zmniejsza się o 30000 zł.
- Sluchacze kursu wymienionego w poz. 2 mają zapewniony przez Szkołę kompletny sprzęt wspinaczkowy. Buty, ubranie do zajęć w terenie skalno-, śnieżno- lodowym należy posiadać własny.
- Sluchacze kursu wymienionego w poz. 3 otrzymują na zajęcia narty z wiązaniami Marker-tour przystosowanymi do wędrowek. Kursanci zobowiązani są do posiadania własnych butów narciarskich jazdowych i kijków.

Na trasie i przy ognisku



Z plecakiem spakowanych myśli
Wyruszam znów w świat.
Kto i dlaczego mi to wyśnił,
Z kim będę dzielił czas.

O głupie pory ostrogłowów,
O pocałunki warg,
Spakuję jeszcze raz to wszystko
I znów wyruszę w świat.

POSZUKIWANIA
sl. i muz. Bogdan Nowicki

Ref. Czuję w sobie obecność gwiazd,
Śpiących w dzień,
Czekających nadejścia nocy,
Odpoczywam w uroku dnia,
Przez chwilę
Czuję, że jestem wolny.

Spod grubych skorup kurzu drogi
Siury wyciągam sens.
Z nagryzionych myśli nowe
Wolają do plecaka ichne.

O dzielne nogi, gdy powróliw
Więcej i więcej wciąż,
Nie ludźcie drogi sensem potu,
Gdy nie ma dokąd iść.

Ref. Czuję w sobie obecność gwiazd...

Nasze
Spiewanki

Ossolineum oferuje!



Tadeusz Broniewski - "Historia architektury dla
wszystkich" cena 45.000 zł
Stanisław Masłowski - "Lud" cena 10.000 zł
F. Antoni Ossowski - "Hucalszczyzna Górgowy i
Czarnohóra" cena 12.500 zł
Jacek Remez - "Wilno" cena 12.500 zł

NABYWCOM HURTOWNYM ILOŚCI KSIĄŻEK W KSIĘGARNI
OSSOLINEUM OFERUJEMY JE PO CENIE ZBYTU !!

EX LIBRIS NA SZLAKU



KRAJOZNAWCZE
EKSLIBRISY

Nasi czytelnicy zauważyli chyba, że już od
dłuższego czasu zamieszczamy na łamach magazynu
różnego rodzaju ciekawostki krajoznawcze i regionalne.
Należą do nich ekslibrisy jako znaki własnościowe
posiadaczy książek. Chętnie pokażemy i inne,
prosimy nam nadesłać, a znajdują się pośród
naszych materiałów.

NA SZLAKU - dwumiesięcznik turystyczno-krajoznawczy
Dolnego Śląska - wydaje ZW PTTK we Wrocławiu przy
współdziałaniu Klubu Wysokogórskiego we Wrocławiu.
Adres redakcji: 50-107 Wrocław, Rynek Ratusz 11/12
tel. 44-26-95.

Zespół redakcyjny: Aleksander Lwow, Krzysztof R.
Mazurski (redaktor naczelny), Stanisław Nosol (sekretarz
redakcji), Jacek Rajski, Roman Rubin, Ryszard Stawczyński,
Ryszard Szlagor. Materiałów nie zamówionych Redakcja
nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo adiacji tekstów.
Druk: 2. Graf. AE - Wrocław. Nakład 1200 + 70 Cena
2.000,-zł Zam. 257/90

30000

Ryszard Stawczyński

I śmierć i piekło
zostały wrzucane do jeziora ognistego:
owo jeziora ogniste, to druga śmierć.
(Objawienie św. Jana, 20. 14)

są takie dni kiedy cmentarze
ploną w nas niczym własne domy
wtedy słychać w sercu
człapanie bliskich
rozchodzące się dreszczem po całym ciele
wtedy krwawo zagryzamy wargi
patrząc na zeschnięte konary drzew
zgniatymi obcasem zegarek
który dalej w nas szeleści

są też takie
kiedy nie dochodzi głos bliskich
ni kapłana
i takie nad którymi
tylko gwiazdy

Listopad 1984

KRONIKA * KRONIKA * KRONIKA

Z okazji Światowego Dnia Turystyki przypadającego
w dniu 27.09.1990 r. przedstawiciele Zarządu
Wojewódzkiego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-
Krajoznawczego dorocznym zwyczajem złożyli włą-
zarkę kwiatów na grobach zasłużonych działaczy
towarzystwa:

- | | |
|--------------------------|-----------------------------|
| 1. Czesław Białowas | 10. Witold Pręlicz |
| 2. Józef Burczyk | 11. Władysław Stawczyński |
| 3. Tamara Dauerman | 12. Włodzimierz Strasburger |
| 4. Mariusz Kocot | 13. Bronisław Turow |
| 5. Jerzy Kowalów | 14. Tadeusz Waszkiewicz |
| 6. Włodzimierz Koszarski | 15. Tadeusz Wielebiński |
| 7. Tadeusz Krajnik | 16. Henryk Zamuliński |
| 8. Kazimierz Miedziński | 17. Jan Żarkowski |
| 9. Stefan Ozcko | |

Tegoroczne obchody Światowego Dnia Turystyki
we Wrocławskim zorganizowane zostały w Sobótkę
przez ZW PTTK. W ramach imprez towarzyszących
odbyły się: akcja "Czyste góry", III Wrocławski
Marsz i Popularne Zawody na Orientację, Pracownicy
i działacze turystyki spotkali się przy plenerowym
ognisku.

W dniu 21 IX 1990 r. rozpoczął się w Klubie
Turysty cykl spotkań z Marią i Leszkiem Sawickimi
"Na szlakach świata" (wędrowki globroterskie).
Organizatorami spotkań jest RPK i KT.

Po raz 23 odbyła się w Zajeździe "Pod ponurą
małą" w Szklarskiej Porębie - Turystyczna Giełda
Piosenki Studenckiej. Grand Prix tegorocznej giełdy
zdobyła grupa pod nazwą "Wzrostki Najlepszego",
której piosenki z pewnością trafią na długie
lata do turystycznych śpiewników. Pokłosem giełdy
jest śpiewnik, wydrukowany już w czasie imprezy.
Organizatorem imprezy, która odbywała się pod
hasłem "Jesteśmy wreszcie we własnym namiocie",
był Akademicki Klub Turystyczny działający przy
Wrocławskiej Akademii Rolniczej.

Po raz dziewiąty Wojewódzka Komisja Przewod-
ników we Wrocławiu zorganizowała Wrocławskie
Spotkania Przewodniczków pn. "Co przewodnik o je-
zyku polskim wiedzieć powinien". W ramach im-
prezy odbyły się spotkania z językoznawcami, a
także odwiedzano Henryków.

ŚLĄSKI LABIRYNT KRAJOZNAWCZY

Ukazał się II tom Śląskiego Labiryntu Krajoznaw-
czego pod redakcją prof. Juliana Janczaka. A w
nim: materiały biograficzne o etnografie i krajo-
znawcy Adolfe Janie Naszu (1916-73), o odkrywa-
niu tajemnic w średnio-wiecznym Lubiążu, o konku-
rsie krajoznawczym z XVII wieku we Wrocławiu, o
Śląskim Labiryncie Historycznym z 1737 roku, o
przedalni Inu w Mysłakowicach z 1839 roku, o
kolejce walimskiej, o Śląskim rzemiośle artystycz-
nym w dwudziestolecu międzywojennym, o migra-
cjach ludzi zasiedlających (często wbrew swojej
woli) Śląsk po 1945 r., o góralach czadeckich pod
Górami Sowimi, o góralach Beskidu Śląskiego. Na-
pisaliśmy też o Stowarzyszeniu Restauratorów, Ho-
telerzy i pokrewnych zawodów działającego w la-
tach 1945-1949 na Dolnym Śląsku, o Ośrodku Daw-
nej Techniki Górniczej w Wałbrzychu, o ciekawost-
kach florystycznych Karkonoszy i inne artykuły o-
raz recenzje i sprawozdania.

Do nabycia w Regionalnej Pracowni Krajoznaw-
czej we Wrocławiu, tel. 386-60.



NA WYCIEZKI!
TYLKO Z NAMI!

ODDZIAŁ PTTK WROCLAW FABRYCZNA
KLUB PRZEWODNIKÓW
TURYSTYCZNYCH

PROPONUJE USŁUGI PRZEWODNICZKIE:

- ◇ GÓRSKIE - (SÜDETY)
 - ◇ TERENOWE - (DOLNY ŚLĄSK)
 - ◇ MIEJSKIE - (WROCLAW)
- ORAZ PIŁOŻA WYCIEZEK NA
TERENIE CAŁEGO KRAJU

OCENY KONKURENCYJNE O

- ◆ BLIŻSZE INFORMACJE:
- ◆ BIURO ODDZIAŁU PTTK WROCLAW FABRYCZNA
- ◆ UL. KOŚCIUSZKI 13.5
- ◆ 50-037 WROCLAW
- ◆ TEL. 44-79-80

Czekamy!

Przedsiębiorstwo Przetwórstwa Owocowo-Warzy-
wnego oferuje dla turystów:

- gołąbki strzeliskie ~ gołąbki śląskie ~ bigos
warmiński ~ gulasz wołowy w sosie węgierskim ~
fasolkę z kielbasą po bretońsku ~ fasolkę z mięsem
po zamojsku ~ fasolkę w sosie pomidorowym ~
klops w kapuście ~ kompoty, dżemy i powidła

Wrocław, ul. Wiwulskiego 17, tel. 48-50-51

SKORZYSTAJ Z NASZEJ OFERTY